CENA NINIEJSZEGO NUMERU 1 ZŁ. 20 GR.

ROK XXIII

ŚWIAT

№ 2

WARSZAWA, DNIA 14-go STYCZNIA 1928 ROKU

Wydawcy: Akc. Tow. Wydawnicze „ŚWIAT". Pod kierownictwem naczelnem STEFANA KRZYWOSZEWSKIEGO

W dżungli przedwyborczej

Okres wyborczy, trwający u nas niepomiernie długo, bo aż trzy miesiące, rozpada się na dwie części: od zarządzenia wyborów do zgłoszenia list kandydatów i od ich złożenia do skrutynium. Pierwsza część upływa na pertraktacjach między partjami i na spieraniu się o kolejność kandydatów wewnątrz stronnictw; wszystko odbywa się za kulisami, w największej dyskrecji, wprost w tajemnicy przed ogółem społeczeństwa. Dopiero, gdy nadejdzie ostatni dzień zgłaszania list — najprzód państwowych, później okręgowych — zasłona spada i przed zaciekawioną publicznością ujawniają się rezultaty ukrytych zabiegów: widać grupy, konkurujące o głos wyborcy, i ustawione w nich kolejno osobistości; wtedy chodzi o jaknajszersze rozgłoszenie haseł i nazwisk — hula agitacja.

Narazie jesteśmy w fazie sekretu. Nic jeszcze oficjalnie nie wiadomo; przenikające zza ścian parlatorjów partyjnych pogłoski należy przyjmować z wielką rezerwą. Stąd trudno zdać sobie sprawę z obrazu, jaki przedstawiać będą wybory. Skomplikowanie stosunków narodowościowych i wielka ilość grup i stronnictw w naszem państwie jeszcze bardziej zaciemnia sytuację. Trzeba się przebijać przez prawdziwą gęstwinę poplątanych pędów i rozgałęzień politycznych. Można w tej dżungli zaginąć.

W porównaniu z wyborami poprzedniemi, tegoroczne przedstawiają daleko większy chaos — przynajmniej dotychczas. Wtedy sytuacja była względnie jasna: prawica tworzyła jeden blok, mniejszości narodowe — drugi; lewica, która rozpoczynała się już od „Piasta" i N. P. R., szła w podziale na 4 — 5 list; rząd zachowywał ścisłą neutralność, dbając o spokojny przebieg aktu wyborczego i powstrzymując się od wpływania na wynik.

Dzisiaj wszystko się zmieniło.

W tem rozbiciu i chaosie przedsiębierze czynność porządkową nowa na terenie wyborczym siła — rząd. Występuje on jawnie o zdobycie głosów i aprobaty kraju; stwarza własny „bezpartyjny komitet współpracy z rządem", deleguje do niego swoich urzędników, układa według swego uznania listy osób, które pragnie widzieć w Izbach prawodawczych. Jeszcze nie sformułowano programu wyborczego rządowego, który będzie dotyczyć głównie spraw ustrojowych państwa, ze względu na mającą w przyszłym Sejmie nastąpić rewizję konstytucji, ale wiadomo już, kto do komitetu rządowego przystąpi, kto mu się przeciwstawi, a kto jeszcze waha się w zajęciu wobec niego stanowiska.

Przy rządzie więc wypowiedzą się: 1) konserwatyści różnych odcieni, 2) sfery gospodarcze, które wydały specjalną deklarację wyborczą, 3) stronnictwa, wyrosłe z przewrotu majowego, jak Partja Pracy i Związek Naprawy Rzeczypospolitej, 4) luźnie idący „piłsudczycy" i skupiające ich organizacje przysposobienia wojskowego, oficerów rezerwy, b. powstańców, legjonistów i t. p., 5) „Zjednoczenie ludu", tworzone przez wicemarszałka Bojkę głównie z pośród dawnych członków „Piasta" i stronnic-

twa chłopskiego, 6) organizacje mieszczańskie, powstające pod nazwami „Narodowych Unji Gospodarczych" i „Zjednoczenia stanu średniego" głównie w dzielnicy zachodniej, wreszcie 7) ogólnopolskie bloki w prowincjach kresowych o ludności mieszanej, zawiązane już przez wojewodów na Górnym Śląsku, w Ziemi Czerwińskiej i na Wołyniu, a projektowane na Wileńszczyźnie, na Polesiu i t. d. Będzie to więc siła wielka, różnolita pod względem społecznym i przekonaniowym, ale zorganizowana dobrze wysiłkami administracji i kierowana jedną wolą Marszałka Piłsudskiego.

Z dwóch stron tego krystalizującego się ośrodka powstaną skupiska inne, których wielkości jednak przesądzać dzisiaj nie można. Na prawo ulokuje się blok Chrześcijańskiej Demokracji z „Piastem", już niemal zawarty, proklamujący neutralność wobec rządu, t. zn. nie chcący go popierać i nie mogący go zwalczać, albo — jeszcze ściślej mówiąc, zawierający w obu swych składowych częściach i zwolenników rządu Piłsudskiego i jego zdecydowanych przeciwników. Nie jest też wykluczone, że blok ten pokruszy się częściowo na rzecz obozu rządowego, częściowo na rzecz najbliższego sąsiada z prawa.

Jest nim zainicjowany przez Związek Ludowo-narodowy i żywioły pokrewne t. zw. Narodowy Komitet Wyborczy z marszałkiem Trąmpczyńskim na czele i z jawnie wrogiem do rządu usposobieniem. Będzie on właściwym spadkobiercą haseł dawnej „ósemki". Czy odziedziczy też po niej głosy — trudno przesądzać.

Obok w równie opozycyjnym nastroju krząta się prawica N. P. R., szukająca sojuszy lokalnych, idąca na Górnym Śląsku pod flagą rządową, na Pomorzu — samodzielnie, nigdzie nie licząca na większe powodzenie.

Po lewej stronie bloku rządowego poczet odrębnych list będzie znacznie dłuższy. Więc najbliżej zechce się go trzymać, powiedzmy — będzie się o niego ocierać stronnictwo chłopskie i N. P. R. — lewica, które nie wejdą do bloku rządowego tylko dlatego, żeby tam nie kolegować z żywiołami zachowawczemi i ze sferami posiadającemi. Nie jest wykluczone, że dla tych partji, idących luzem ze względów taktycznych, a nie zasadniczych, pozostawi blok rządowy kilka czy kilkanaście okręgów, nie wystawiając tam własnej listy.

Nie może na taką uprzejmość liczyć „Wyzwolenie" ani P. P. S., maszerujące każde osobno, choć obok siebie, i pomagające sobie tam, gdzie interesy ich nie krzyżują się, t. j. w okręgach miejskich i wybitnie małorolnych. Na wpływy P. P. S. nastawać będą dwaj przeciwnicy: komuniści, których listy zapewne nie zostaną unieważnione i którzy zdobędą kilka mandatów, oraz t. zw. lewica socjalistyczna, złożona z drobnych grup dysydenckich, jak Niezależna Socjalistyczna Partja Pracy p. Drobnera, Lewica P. P. S. p. Czumy, resztki N. P. Ch. p. Wojewódzkiego, a także z pokrewnych żywiołów mniejszościowych; ta zbieranina nie może liczyć na przeprowadzenie choćby jednego posła.

Jeśli przejdziemy do rozpatrzenia układu partyjno - wyborczego wśród mniejszości narodowych, to natrafimy tam na gąszcze jeszcze trudniejsze do zbadania. Żydzi będą szli conajmniej w czterech zespołach: 1) w bloku narodowym żydowskim, obejmującym ortodoksów p. Kirszbrauna i ludowców p. Priłuckiego oraz organizacje gospodarcze, 2) w bloku mniejszościowym, do którego przystąpili sjoniści Kongresówki i Wileńszczyzny, 3) w bloku sjonistów małopolskich, 4) w bloku socjalistycznym Bundu. Nadto nie jest wykluczone zgłoszenie list oddzielnych Poalej-Sjonu i przyłączenie się części żydów kresowych do bloku rządowego.

Wśród Białorusinów stosunki są jeszcze bardziej skomplikowane; zapowiadają się następujące listy: 1) blok mniejszości, do którego wejdzie Związek Włościański p.p. Jaremicza i Rohuli, Ch. D. katolicko-białoruska ks. Stankiewicza i Ch. D. prawosławna b. senatora Bohdanowicza, nieuznającego autokefalji cerkwi polskiej i wyklętego przez metropolitę; 2) komunistyczne „Białoruskie robotniczo-włościańskie Zjednoczenie", złożone z Kom. Partji Białorusi Zachodniej i z Białoruskiej Partji Włościańskiej (lewica b. Hromady) pod wodzą p. I. Stankiewicza; 3) Prawica b. Hromady z b. senatorem Własowem na czele, rozporządzająca siecią Towarzystw Szkoły Białoruskiej i czerpiąca środki od metodystów; 4) Grupa cerkiewno-białoruska b. popa Kowsza, skazanego za należenie do Hromady; 5) grupa socjalistów - rewolucjonistów p. Mamońki, sprzymierzona prawdopodobnie z samorządową organizacją p. Mitkiewicza; 6) Białoruska Rada Narodowa pod prezesurą dr. Pawlukiewicza, skupiająca żywioły umiarkowane i stojąca na gruncie państwowości polskiej; 7) Białoruska radykalna partja ludowa pod wodzą polonofila, p. Umiastowskiego, która weszła na czas wyborów do Zjednoczenia Krajowego wespół z partjami ludowemi polskiemi i znajdzie się w bloku rządowym.

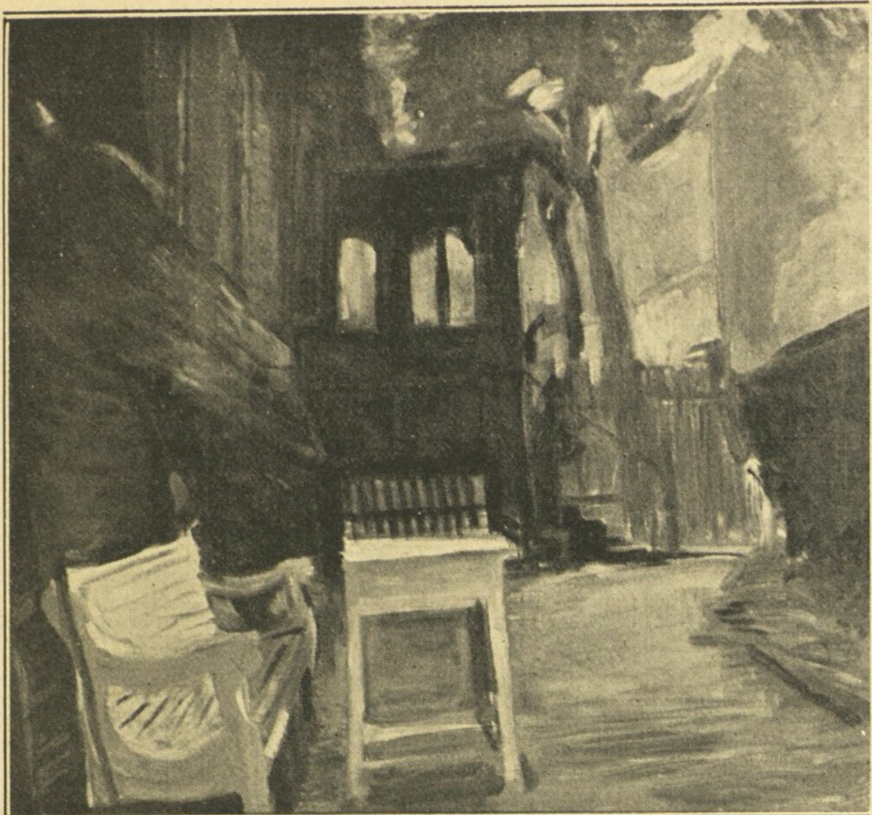
Takie rozbicie zapowiada się u Białorusinów. Ale wśród Ukraińców dochodzi ono do szczytu. Tutaj także jedna partja — Ukraińska Narodowa-demokracja, zwana Undo, wstępuje do bloku mniejszości, ale na swym terenie nie ma się z kim blokować, bo żydzi, jak widzieliśmy, idą osobno. Komunistyczna Partja Zachodniej Ukrainy pójdzie prawdopodobnie razem z t. zw. lewicą Selrobu (Związek włościańsko - robotniczy), albo też ta połączy się z prawicą Selrobu, stanowiącą odrębną partję. Czwarty blok tworzy się z Ukr. Partji Pracy, z pozostałości prz piśmie „Wpered" socjalnej demokracji i z partji socjalistyczno - radykalnej, której przewodzi Lew Baczyński. Świeży odłam tej ostatniej, zwany Lewicą socjalno-radykalną z p. Trylowskim na czele, pójdzie osobno. Tak samo z nikim nie mają się blokować „Selsojuz" (Związek wiejski) p. Pawła Wasyńczuka i Niezależna Partja Narodowa p. Podhirskiego; wreszcie ósmą listę złoży Ukr. Związek Narodowy (U. N. S.) dr. Daniłowicza, lojalny wobec Rzeczypospolitej, a ostatnia t. zw. grupa „Niwy" wejdzie do bloku rządowego. Niezależnie od tego powstaje blok Starorusinów i nie jest wykluczony rosyjski blok prawosławnych.

Przy takiem bogactwie form życia politycznego Rusinów stosunki wśród Niemców układają się bardzo prosto: Socjaliści niemieccy kandydują na Śląsku i w Łodzi na listach P. P. S., wszystkie zaś partje „burżuazyjne" — protestanckie i katolickie, zachowawcze i postępowe, separatystyczne i lojalne — weszły do bloku mniejszości narodowych. Zato u Litwinów, najmniejszej mniejszości w Polsce, jest taka obfitość grup, odcieni i kombinacji, że trudno je nawet przedstawić.

Jak widzimy, obraz przedwyborczy jest niezwykle barwny i zagmatwany. Obywatel polski nie łatwo w nim będzie się mógł zorjentować i wybrać dla swego głosu najlepsze przeznaczenie.

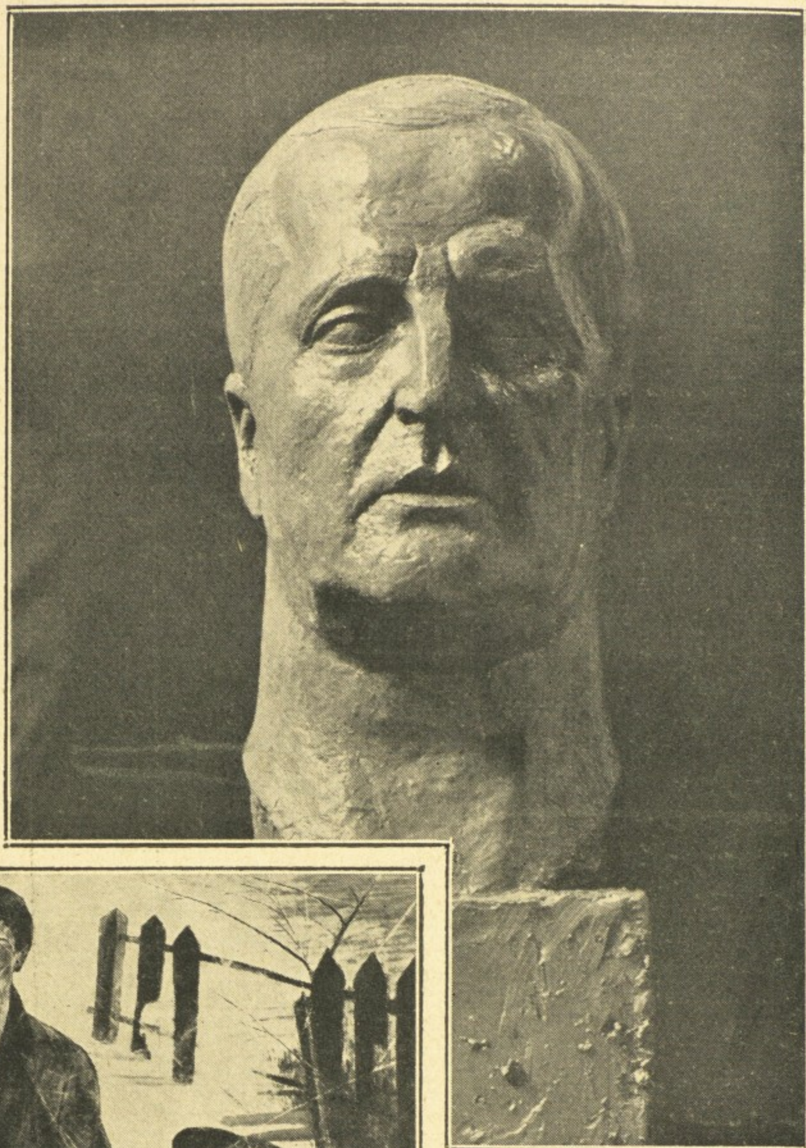
W. Giełżyński

Z WYSTAWY ZWIĄZKU ZAWODOWEGO PLASTYKÓW W WARSZAWIE



Ant. Rychtarski. Pejzaż. Nagroda wydawnictwa „Express Poranny"

Fot. Photo-Plat



Hanna Nałkowska. „Głowa" (bronz)

Fot. Jan Wołyński



Wacław Piotrowski. „Łobuzy" Nagroda m. st. Warszawy



Antoni Janik. Główka warszawianki. Nagr. czasop. „Robotnik"



Wacław Wąsowicz. „Bydgoszcz"

Fot. Jan Ryś

NA WIDNOKRĘGU

JESZCZE O LITWIE

Zatarg polsko-litewski nie przestał być kwestją aktualną. Każdy dzień przynosi nowe fakty, nowe oświetlenia. I niewiadomo, jak likwidacja tego zatargu długo trwać będzie, tembardziej, że tylu czynnikom „miarodajnym" zależy na tem, aby przeciągnęła się jak najdłużej.

Mamy przed sobą paręset wycinków z prasy europejskiej i amerykańskiej, które dotyczą tej aktualnej sprawy. Wyjmujemy z nich głosy najciekawsze i układamy z nich wiązankę *ad usum* czytelnika.

FRANCJA. Że prasa francuska odniesie się wogóle do naszego konfliktu z Litwą Kowieńską z żywą sympatją, to było do przewidzenia, ale że tak się zachowa *cała* prasa, z wyjątkiem tylko pism komunistycznych, to było dla nas niespodzianką, bo nie zawsze tak bywało. Na czoło wysunął się jeden z najświetniejszych publicystów francuskich, Pertinax, który „źródło sprawy polsko - litewskiej widzi w samym fakcie *istnienia* Litwy, sztucznego wytworu, złożonego z paruset inteligentów, wyzyskujących nienawiść dwóch miljonów chłopów do posiadaczy większej własności, głównie polaków".

Podług Jacques de Bainville'a („Liberté"), wszystkie powikłania pochodzą z samego faktu *istnienia* Litwy. Jest ona bowiem stałem zarzewiem niepokoju na wschodzie Europy. P. Bainville nie waha się radzić, aby ją poprostu „wykreślić z listy państw niezależnych, przyłączając do Polski, której jest dodatkiem naturalnym", ale dodaje melancholijnie: „Niemcy i Rosja nigdy się na to nie zgodzą". Coprawda, to państwo polskie nie ma takich wilkołaczych zamiarów.

Wybitny znawca stosunków międzynarodowych, Jacques Seydou, podaje w „Petit Parisien" historyczny rys stosunków Polski i Litwy, zacząwszy od Władysława Jagiełły. Podkreśla, że przez cztery stulecia oba te państwa dzieliły te same koleje, walcząc później wspólnie o odzyskanie swej niepodległości. Nie widzi więc powodu, żeby nie miało przyjść do porozumienia. Prawda, że artykuł Seydou ukazał się 2 grudnia, a więc przed drażniącą kampanją Waldemarasa, rozwiniętą po rezolucji Rady Ligi Narodów. „Journal des Debats" (6/12) wskazuje na niebezpieczne ustępy w oświadczeniach Waldemarasa: „Nadużywa on prawdy, mówiąc, że rezolucja otwiera na nowo sprawę wileńską. Waldemaras sam zdradził grę, jaką zamierza prowadzić z Berlinem i Moskwą w duchu, oczywiście, mało korzystnym dla Polski". To niewątpliwie. Lewicowy „Quotidien" ostro polemizuje z Waldemarasem, uważając stanowczo, że uchwała Rady Amb. z r. 1923 ma moc prawną, równą postanowieniom Tr. Wers., nie może więc być anulowaną przez Radę S. N.

PRASA ANGIELSKA. Poza „Daily News" i całym koncernem lorda Rothermera i prasą uliczną, polującą na sensację, wszystkie poważne pisma angielskie z „Times'em" na czele surowo potępiają akcję Waldemarasa, „siejącą niepokój i potrząsającą widmem wojny". Na podkreślenie zasługuje zachowanie się dwóch pism, stale dotąd nieprzyjaznych Polsce: „Daily Herald'u", organu Labour Party, i „Manchester Guardian'u". Pierwsze z tych pism potępia całą politykę litewską i akcję Waldemarasa. W „Manchester Guardian" stałym referentem o Litwie jest p. Tony Breidscheid, żona przywódcy socjalistów, którego po Scheidemanie uważają w Niemczech za najwybitniejszego przedstawiciela socjaldemokratów. W korespondencjach z Berlina pani Breidscheid mówi o rządzie Waldemarasa, jako o rządzie „opętańców", katów, utrzymujących się jedynie terorem i t. d. Na liryczny ton nastrojony jest artykuł miesięcznika „Forthingvey Review". Apeluje on do wspaniałomyślności i wielkiego serca Polski, aby zrobiła Litwie pewne ustępstwa „choćby nawet pociągnęło to za sobą pewne ofiary". Romantyczny autor zapytuje, czy niema jakiejś części terytorjum wileńskiego, gdzie litwini są bardziej liczni i która by mogła być oddana Litwie. Dalej zapytuje, czy nie byłoby pożądanem, aby Wilno ze swym cudownym obrazem Matki Boskiej stało się świętem miastem zarówno dla litwinów, jak i dla polaków? Ono jest takiem miastem, ale to nie przeszkadza, że go intryganci polityczni obdzierają ze świętości.

PRASA AMERYKAŃSKA. Pisma niemieckie, reprezentujące 20 miljonów niemieckich obywateli Stanów Zjednoczonych, są naturalnie w każdej sprawie, a więc i w sprawie zatargu polsko-litewskiego, przeciwko Polsce. Po za niemi prasa amerykańska zajmuje stanowisko przeważnie krytyczne i niechętne wobec Litwy.

PRASA NIEMIECKA. Na szczególną uwagę zasługuje stanowisko prasy niemieckiej, która, rozdrażniona zachowaniem się Litwy w sprawie kłajpedskiej, wstrzymała się (na pewien czas) od atakowania Polski w sprawie litewskiej. „Deutsche Allgemeine Ztg." (pismo nacjonalistyczne) dziwi się, że Litwa, która w granicach swego państwa prześladuje mniejszość niemiecką, odważa się dzisiaj zwracać do Ligi Narodów „z powodu rzekomego prześladowania mniejszości litewskiej w Polsce". „Faryzeuszostwo polityczne, które przemawia z ostatniej noty rządu litewskiego, zasługuje na to, aby je postawiono pod pręgierzem". Nawet ostre słowa, użyte przez Marszałka, w stosunku do Waldemarasa, w znanym wywiadzie z warszawską Agencją telegraficzną, nie wywarły wogóle oburzenia. „Boersen Kurier" tak z tej racji pisze: „Wyraz „anomalja", dla określenia stanu wojny pomiędzy Polską i Litwą, nie jest zbyt przesadny. Jest to zjawisko, niespotykane w dziejach dyplomacji, aby państwo, liczące półtora miljona ludności, posługiwało się papierowym stanem wojny z 24 razy silniejszą Polską, aby w ten sposób przedstawić siebie nieustannie w roli słabego państwa i opierać się zobowiązaniom, wypływającym z paktu Ligi Narodów".

PRASA WŁOSKA nie okazuje sympatji dla Polski w jej sporze z Litwą. Jako próbkę przytaczamy treść arykułu „Popolo d'Italia" z dnia 27 grudnia: „W prasie francuskiej trwa dalej egzaltacja z racji sukcesu Ligi Nar., która zlikwidowała zatarg między Litwą a Polską. Nie chcemy obniżać zasługi Ligi Nar., która zdołała pogodzić dumnego Piłsudskiego z Waldemarasem, ale przesada prasy demokratyczno - masońskiej we Francji jest niebezpieczna". Jasność wzroku opinji włoskiej w sprawach zagranicznych zaciemniają stale animozje w stosunku do Francji i podskórna sympatja do Niemiec.

Tych kilkanaście głosów prasy, które przytoczyliśmy powyżej, nie dają całkowitego obrazu, co myśli opinja zagraniczna o naszym procesie z Litwą, ale wskazują, że stało się inaczej, niż zwykle. Mianowicie większość prasy zachodniej nie stanęła przeciwko Polsce. Nawet część prasy niemieckiej. Tegośmy oddawna nie widzieli.

Światosław



Posąg młodzieńca



Epoka Praksitelesa: posąg kobiety

MUZEUM STAROŻYTNOŚCI W KONSTANTYNOPOLU

Kolekcja rzeźb antycznych, zgromadzona w British Muzeum, jest imponująca. Nie posiada jednak takich atrakcji, jak Nike Samotracka z Luwru, jak słynna Venus Kapitolińska z rzymskiego narodowego muzeum, jak Apollo ze zbiorów Watykańskich. Szacunek, podziw i sentyment dla szlachetnie obrobionego marmuru budzi się i utrwala dopiero wśród rzymskich zabytków przeszłości. Sens rzeźby, jako sztuki, dopiero tu, w Mieście Wiecznem, dotyka duszy bezpośrednio, wstrząsa i wprowadza w czarodziejski świat marmurowego piękna. Koło rzeźb muzealnych londyńskich, a nawet paryskich przechodzi się z podziwem, ale bez psychologicznej wizji antycznego świata. W Rzymie każdy ułamek marmuru wiąże się z wiekami historji. Przez czarodziejski kształt, wypieszczony ręką artysty, mówi kultura antyczna. Sztuka daje wizję zamierzchłego życia....

Kto błądził po salach muzeów rzymskich, kto stał u powalonych kolumn Forum Romanum, kto wchodził pod łuki tryumfalne arki Konstantyna — ten w spojrzeniu zachowa nazawsze czarodziejstwo linji, harmonję bryły, logikę i konstrukcję kształtu rzeźbiarskiego i architektonicznego.

Jakże miłą jest niespodzianką dla przygodnego podróżnika, gdy w stolicy dawnego Bizancjum przypadkowo odkryje zbiory starożytnej rzeźby! Krążąc po ulicach Konstantynopola o wyraźnem tureckiem zabarwieniu, o tradycji mahometańskiej, o psychice nawskroś nieeuropejskiej — zbłądzi w murach Wysokiej Porty i znajdzie się u bramy „Suk Czeszme". Jest to już Seraj. Omywają go wody Bosforu i Złotego Rogu. W zachodniej części znajduje się Muzeum starożytności i piękny ogród. We wschodniej części rezydowali sułtanowie lub dymisjonowane ich małżonki.

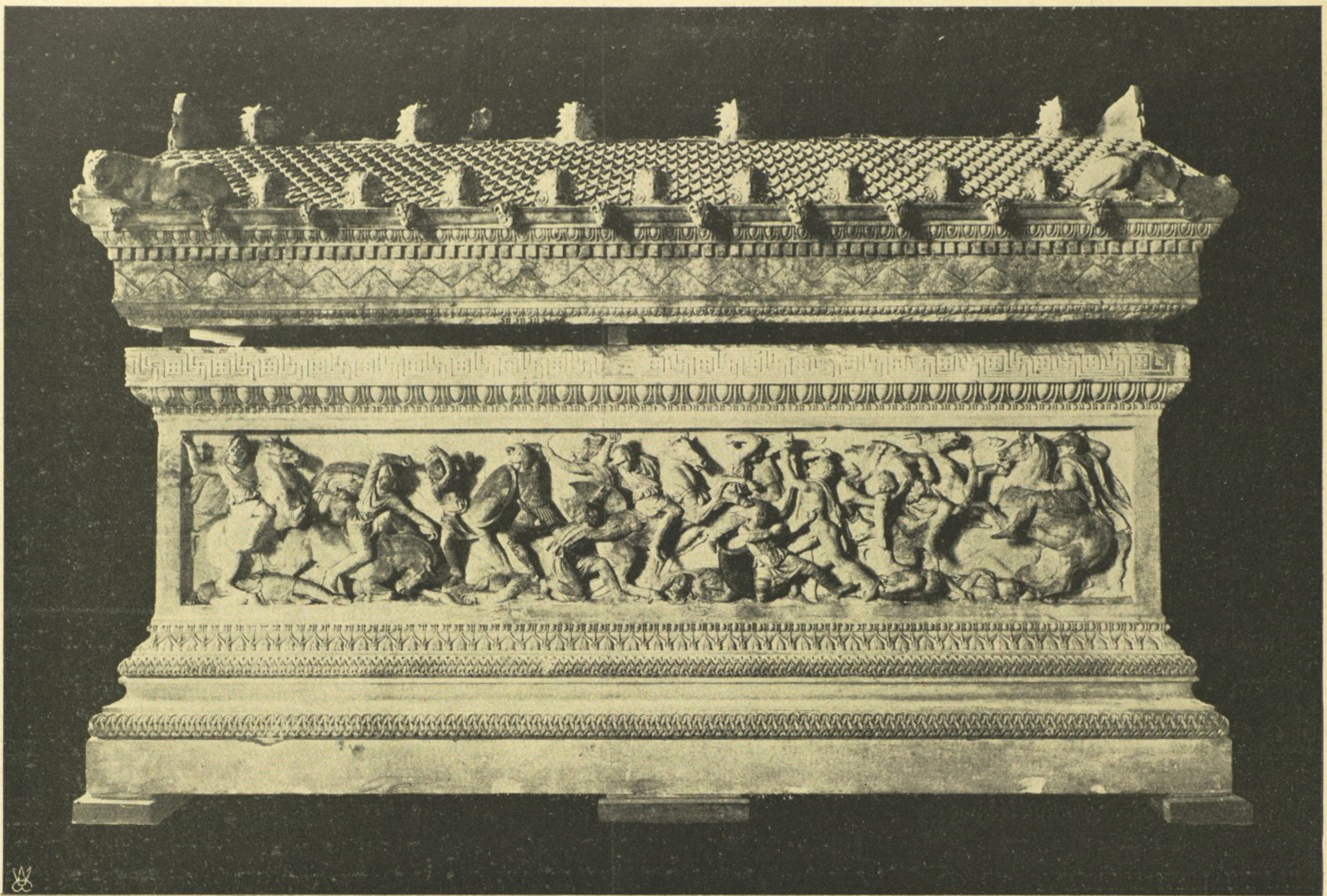
Muzeum starożytności mieści się w dwóch budynkach: stary gmach zwie się Czynili - Kiosk, a nowy nazywa się zwyczajnie: Nowe muzeum. Gmach ten zbudowano w r. 1891 w stylu greckim. W budynku tym przechowują się pamiątki starożytne, mające związek z kulturą antyczną. Rzeźba stanowi ozdobę tego muzeum. Szczególnie wyróżniają się marmurowe sarkofagi, znalezione w Saida (Sidonie). Najpiękniejszym jest rzekomy sarkofag Aleksandra Wielkiego. Na ścianach znajdują się misterne, koloryzowane płaskorzeźby, przedstawiające z jednej strony bitwę pomiędzy Persami i Macedończykami, prawdopodobnie pod Issos, po drugiej zaś stronie scenę z polowania.

Znawcy rzeźby wysoko podnoszą kompozycje tych płaskorzeźb. Są one wyjątkowe pod względem logiki i piękna w rozwiązaniu zagadnienia przestrzeni. Historycy ostatnio dowiedli, że sarkofag ten nie mógł przechowywać zwłok wielkiego wojownika, gdyż, jak wiadomo, Aleksander Wielki został pochowany w Aleksandrji. Postawiono więc hipotezę, że w sarkofagu tym spoczywał któryś z wodzów wielkiego zdobywcy.

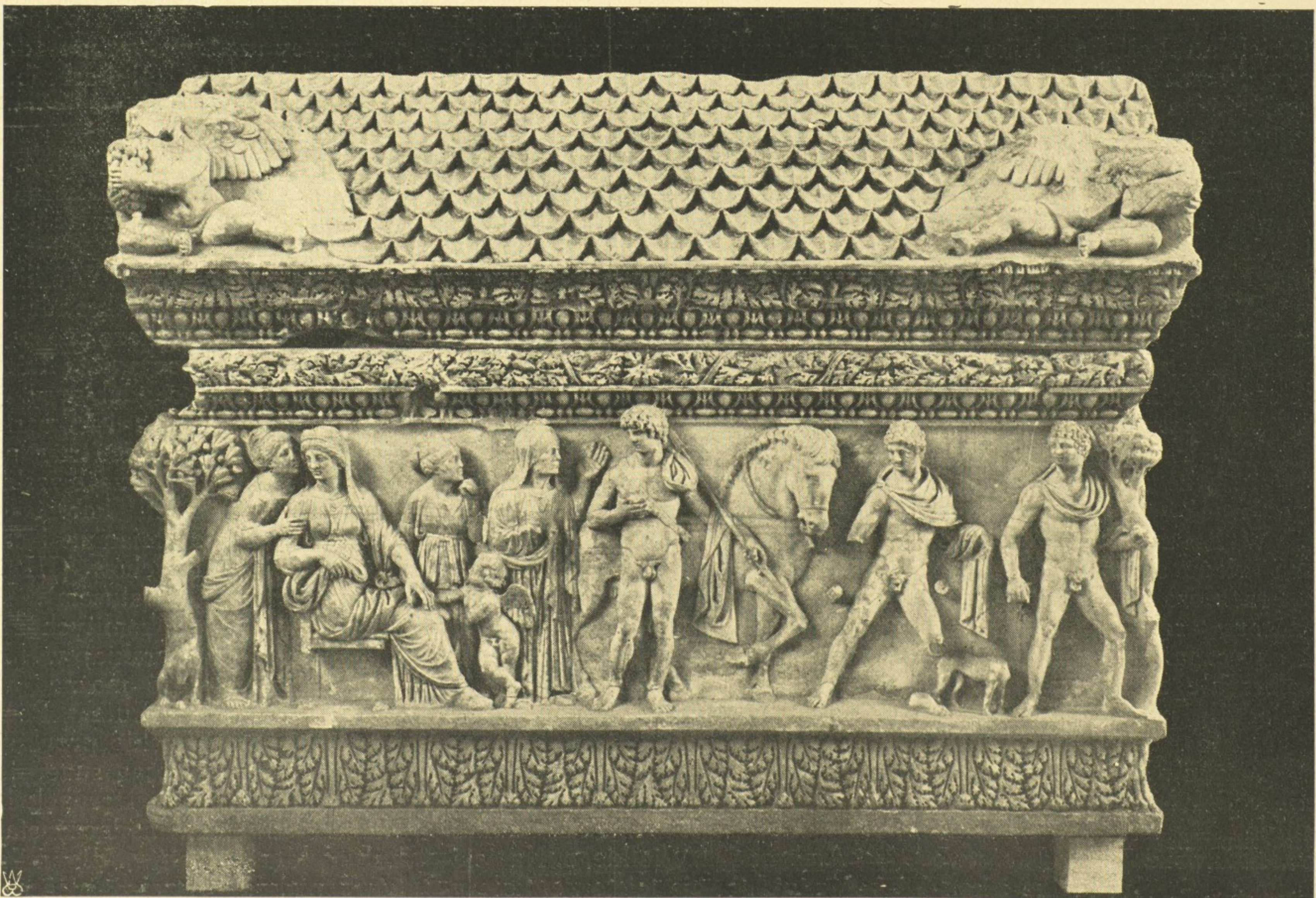
Esteci narówni z tym sarkofagiem stawiają jeszcze trzy podobne dzieła geniuszu rzeźbiarskiego: sarkofag z figurami kobiet - płaczek, sarkofag rzymianina i sarkofag z epoki Diadochów (III i IV stulecie przed Chrystusem).

Oprócz tych znakomitych zabytków sztuki rzeźbiarskiej w Muzeum nowem znaleźć można wiele godnych tworów dłuta. Pomniki assyryjskie i hetejskie przykuwają uwagę. Słynny posąg suneryjskiego króla Esara i wizerunek króla Naram - Sina dla badaczy starych kultur, dla artystów, dla miłośników piękna tworzą nieocenione skarby.

Konstantynopol. *Youssin - Bey*



Sarkofag rzekomo Aleksandra Wielkiego

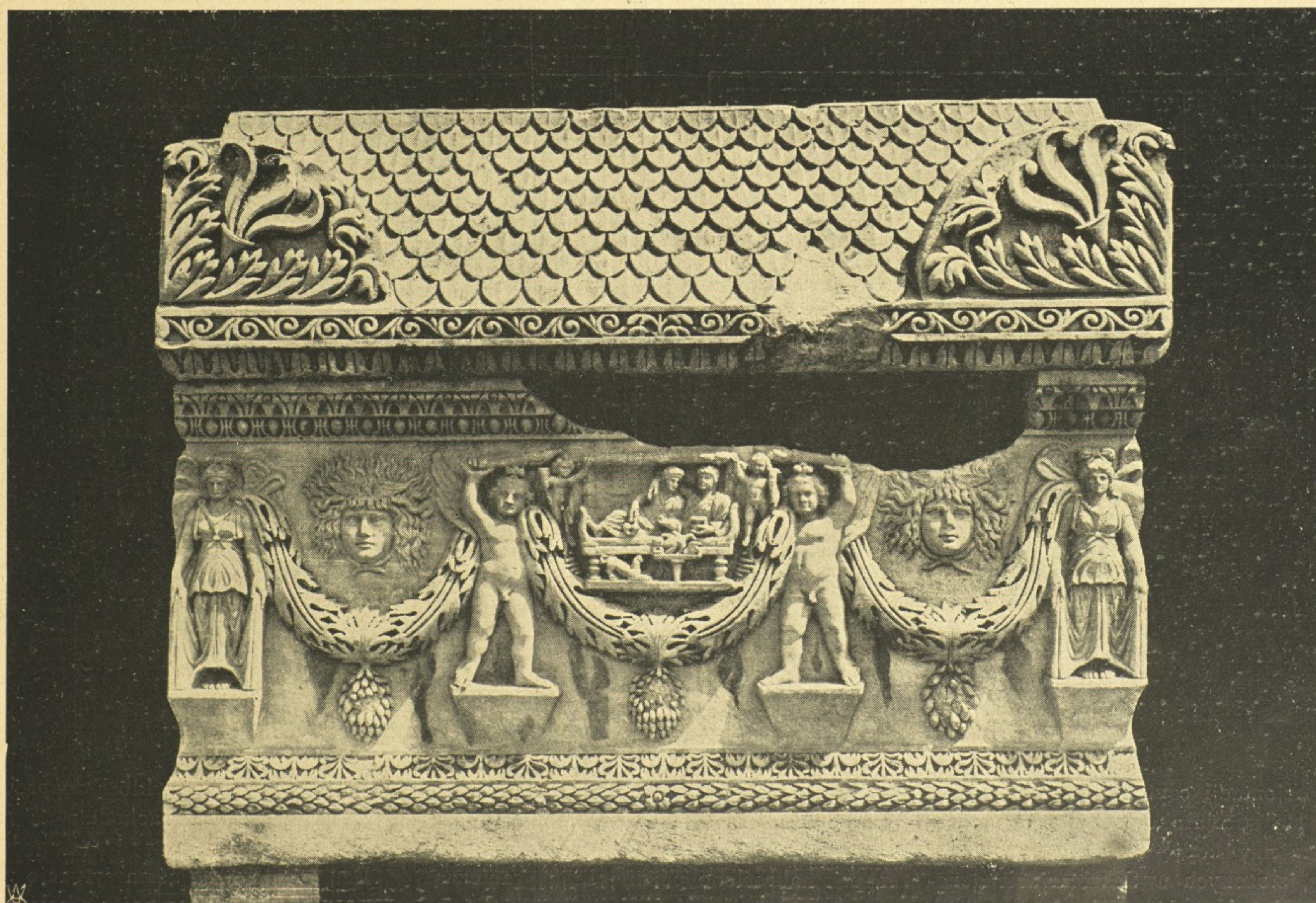


Sarkofag z epoki Diadochów (III i IV stulecie przed Chrystusem)

MARMUROWE SARKOFAGI, ZNALEZIONE W SAIDA (SIDONIE):



Sarkofag z figurami kobiet-płaczek



Sarkofag rzymianina

*Paradoksy**)

Pomiędzy paradoksem a prawdą zachodzi ta różnica, że pierwszy rozjaśnia przedmiot silnem światłem z jednej strony, a druga — słabem światłem z wielu.

Poszukiwacz prawdy, jak poszukiwacz złota, mieszka w namiocie głodny i obdarty, musi przekopać góry piasku, zanim znajdzie grudkę cennego kruszcu, a często nie znajdzie go wcale.

Poszukiwacz złudzeń, jak fabrykant modnych tkanin, mieszka w pałacu, syty i używający zbytku.

Niecnotą w zmianie przekonań nie jest ich różnica, ale nieszczerość.

Bezwzględnie logiczną w czynie jest tylko maszyna.

Mądrość jest morzem płytkiem ale burzliwem, a głupota bezdennem ale martwem.

Człowiek odbiera sobie życie tylko wtedy, kiedy już nie może nic stworzyć.

Natura jest zwykle okrutna, ale niekiedy miłosierna: starcom niemogącym używać życia obrzydza je.

Ludzie, jak góry: wielcy wydają się zbliska mniejsi, a mali — więksi.

*) Z niedrukowanej pracy autora p. t. Herezye i paradoksy — pamiętnik mojej myśli.

Historja kanalizuje życie przeszłości i wiele sławionych czynów spuszcza do ścieków.

Przestępca jest rewolucjonistą burzącym porządek społeczny, ale rewolucjonistą jest również człowiek uczciwy, burzący ogólną nieuczciwość.

Grzeczność w rozmowie polega na tem, ażeby mówiącemu pozwolić dokończyć zaczęte zdanie, którego dalszy ciąg znamy. Najgłupszy bowiem paplacz mniema, że mu służy ten sam przywilej, co artyście, śpiewającemu w operze arję, którą słyszeliśmy wiele razy.

Kto twierdzi, że kocha jednakowo wszystkich ludzi, ten zapewnia, że gra jednakowo na wszystkich instrumentach.

Miłość jest wtedy wielka, kiedy gra nie na jednej ale na wszystkich strunach serca.

Milczący kochankowie tak nie mogą się ukryć śród obojętnych ludzi, jak rośliny pachnące śród bezwonnych.

Socjaliści chcą wyciąć las ludzki, przerobić go na jednakowe kołki i posadzić je w ziemi, zapewniając, że powstanie z tego bujny i wonny park.

Plotka wynalazła doskonałe radio, w którem jej głos rozchodzi się w długich i szybkich falach, wzrastając z odległością.

Potwarz stara się głównie o to, ażeby aniołom odłamać skrzydła i przyprawić ogony.

Lepiej żyć pod rządem jakichkolwiek ustaw, niż pod rządem jakichkolwiek ludzi.

Adwokaci i sędziowie mogą spierać się o znajomość prawa, ale najciemniejszy prostak nie może się tłomaczyć jego nieznajomością.

Mężczyzna zakrywa swoje pochodzenie od małpy rozumem, kobieta strojem.

Mężczyznę można nauczyć mądrości, kobieta musi się z nią urodzić.

Często kształcenie kobiet jest szczepieniem gruszek na wierzbie.

Kobieta, słuchając słów górnych i jadąc aeroplanem, dostaje mdłości, a doskonale się czuje, słuchając słów dolnych i jadąc karetą.

Kobieta łatwo zmienia narodowość, bo lubi się przebierać.

Gdyby Bóg zapytał kobiety, czego ona sobie życzy, odpowiedziałaby, ażeby wszystkie inne były od niej brzydsze i skromniej ubrane.

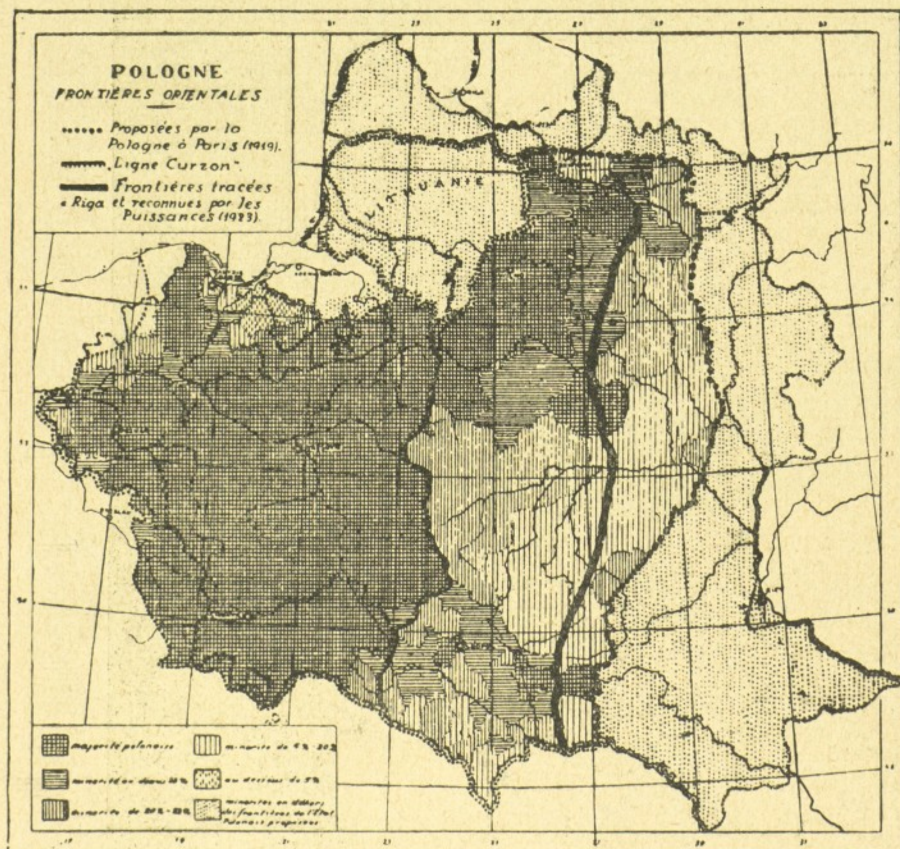
Kobieta nieukształcona cierpi nie dlatego, że nie posiada wiedzy, ale dlatego, że nie może więcej mówić.

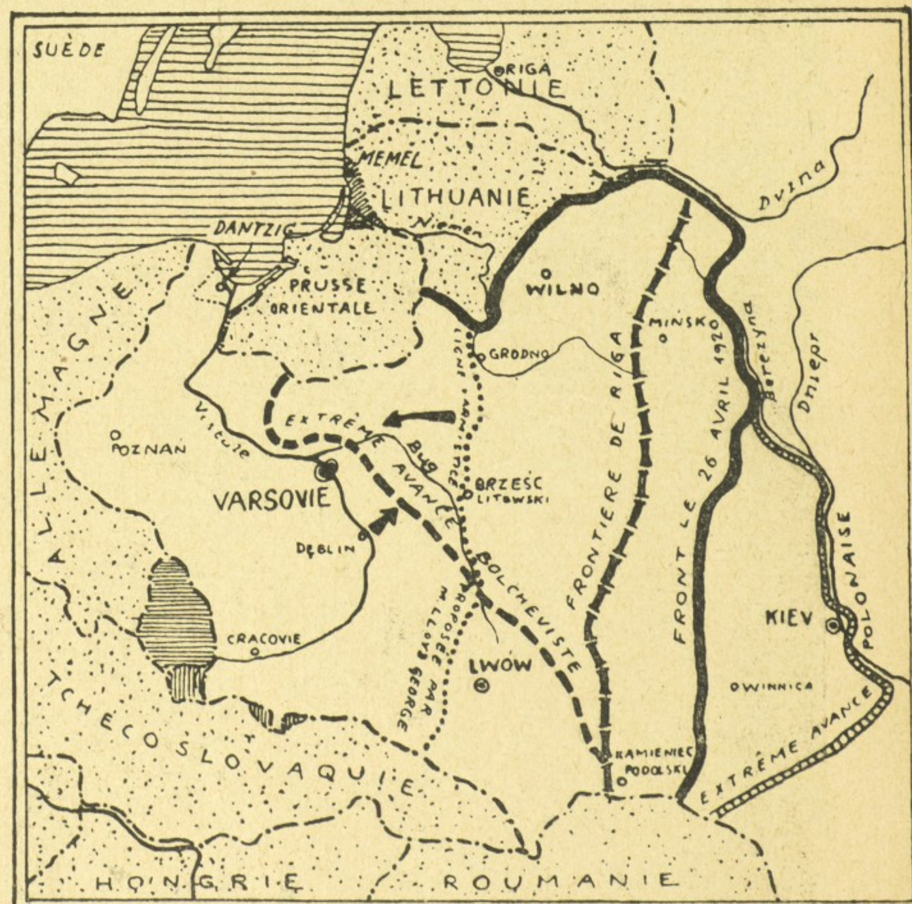
Kobieta może sobie wyobrazić, że zjadłaby ryby i wypiłaby wodę wszystkich mórz, ale nie może sobie wyobrazić, ażeby ukazała się na balu w niemodnej sukni.

Tak trudno wyobrazić sobie kobietę sprawiedliwą, jak kukułkę karmiącą młode skowronki.

ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI

MAPKI POLITYCZNE

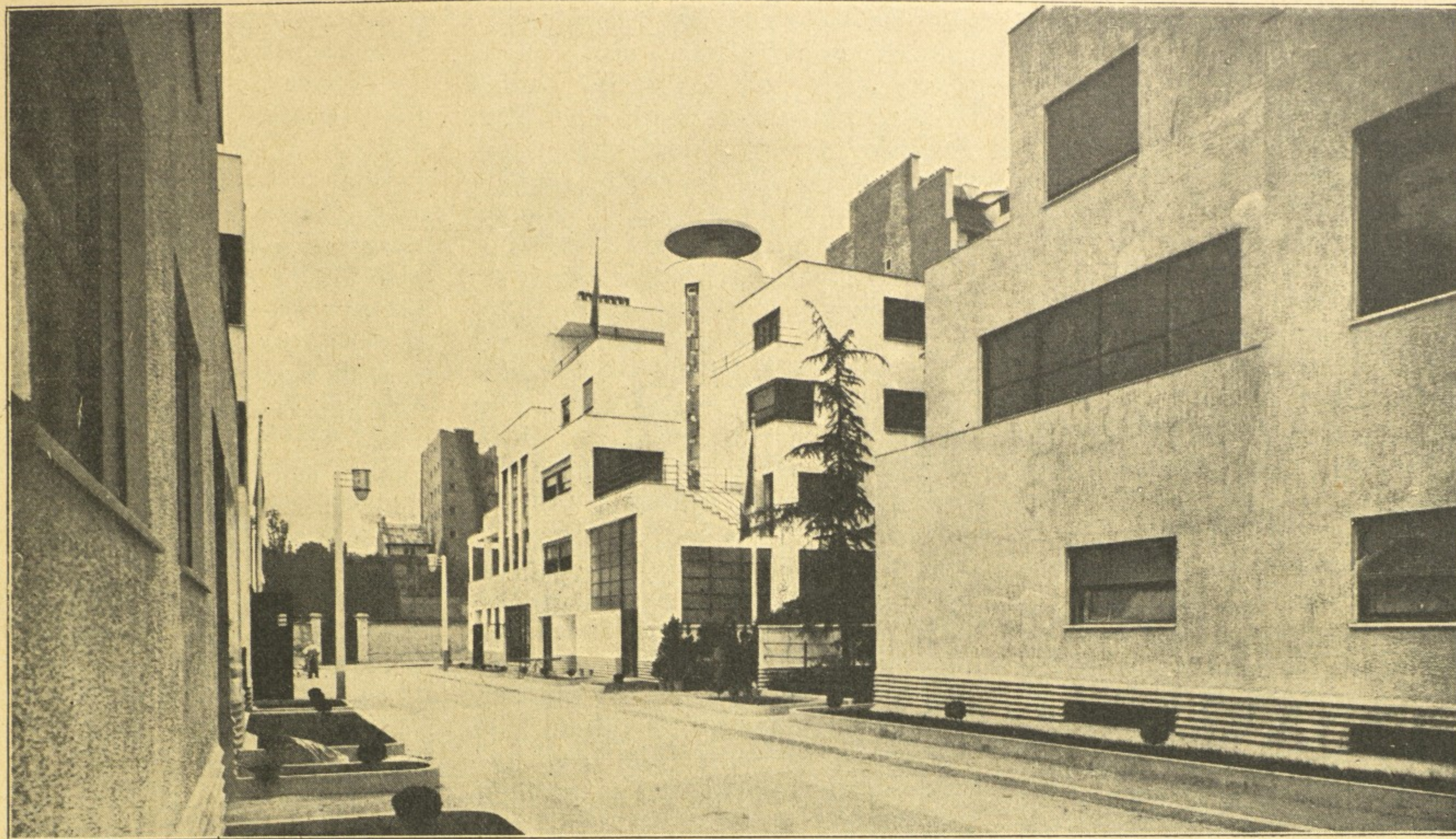




Dla orjentacji czytelników, nie zajmujących się specjalnie polityką zagraniczną, podajemy kopję dwóch mapek francuskich, złożonych w Sekretarjacie generalnym Ligi Narodów. Pierwsza z tych mapek jest kartą etnograficzną Polski, którą delegacja polska przedstawiła 3 marca 1919 r. Konferencji pokojowej z oznaczeniem pożądanych granic. Na tej mapce nakreślono później linję graniczną przyjętą w traktacie pokojowym z Rosją sowiecką, zawartym w Rydze w r. 1921. Jest to ta sama linja, którą zaaprobowały wielkie mocarstwa zachodnie 15 marca 1923 r.

Druga mapka objaśnia sytuację wytworzoną w r. 1920 przez najście bolszewików i ich odparcie.

NOWA DZIELNICA W PARYŻU



Ulica Mallch-Stevens, zbudowana według nowych linearnych zasad architektonicznych: wielkie, proste bloki, wiązane prostemi linjami

Fot. „Kazia"

PO KATASTROFIE NAD MISSISIPI



St. Louis, piękne miasto amerykańskie, położone nad Missisipi, zburzone przez cyklon, nie traci animuszu. Ruch samochodowy, tramwajowy jest w pełni. Należy się spodziewać, że zostanie odbudowane z amerykańską energją. Cyklon pozostawił 35 tysięcy ludzi bez dachu

„Bliżej siebie"*)

„Musi przyjść bowiem pora, gdy czas — to sekundy: każda spada oddzielnie i każda nas znaczy, — że nagle się poczuje przechylenie wagi i cień przed sobą obcy, jak pomots, zobaczy. Nie ma to treści żadnej, nie przynosi smutku i lękiem nie zapełnia zadumanej głowy, — poprostu czarna kreska wschodzi pocichutku, dzieląc oczy i życie na równe połowy".

Taką „czarną kreskę" swego młodego życia poetyckiego ujrzał p. S. Baliński w podróży po Persji, dokąd — szczęśliwym zbiegiem okoliczności — zawiodły go obowiązki służbowe.

Świat wrażeń i wzruszeń naszych młodych liryków zmącił się dziwnie w atmosferze powojennej. Jedni zasłuchani są jeszcze mimowiednie w echa romantyzmu; inni radosny krzyk serc, z których zdjęto ciężar niewoli, rzucili z pasją i— przycichli; inni czającą się niemoc twórczą usiłują nakryć hasłami bojowemi i tryumfalnem ustalaniem swojej sławy; jeszcze inni męczą się w werbalizmie, który w przejściowej epoce musi zastąpić niedobór treści duchowej. „Potępieńcze swary", których tak pełno w budującej się Polsce odrodzonej, namnożyły sztucznych wartości, a twórcom prawym odjęły odwagę zaglądania do głębi własnych dusz.

P. Baliński, młody poeta, który szuka swej drogi cokolwiek lękliwie, odsunął się na chwilę od cenaklów kawiarnianych, gdzie się co wieczór czyni „porządek" w literaturze i sztuce, i pojechał do dalekich miast, „kąpanych we wschodniem niebie, żeby w nich błądząc samotnie, *poczuć się bliższym siebie*". Pod niebem wschodniem uczuł się młody poeta onieśmielony wobec nakazów rytuału egzotyczności. Zatopione w słońcu krajobrazy; „drogi porzucone", co „biegną z milczącą trwogą po płaskowzgórzu pustem, które pamięta potop"; Teheran, „miasto pijane tęsknotą wieczorną"; długie podróże „po zamarłym kraju, przez oazy bezwonne, pustynię omdlałą"; groby wielkich poetów; rozważane zbożnie słowa mędrców i pieśniarzy Wschodu „napisane srebrnie"; legendy, które otaczają wszystkie pomniki przeszłości kraju — wszystko to budzi w poecie mnóstwo wspomnień i dreszczów literackich. Gdy po tej ziemi egzotycznej chce „stąpać pierworodnie", cisną się do głowy wizje tych, co tu już dawno byli, co już o tem pisali, co już to wszystko przeżyli poetycko. Tam oto „zamroczył" młodego poetę i „linje czasu poplątał" rzucony na skale podpis pana de Gobineau; a tam znowu, na Libanie, siwy Arab opowiada mu „o jednym Polaku, który tu kiedyś wiosną żył przez dni czterdzieści, w klasztorze misjonarskim, przy cedrowym szlaku" i który nazywał się... Słowacki. Więc ogarniają go romantyczne wspomnienia i marzenia, kultura literacka walczy z bezpośredniością wrażeń. I dopiero w chwilach, gdy poeta znowu jest „bliżej siebie"; gdy tęsknoty duszy szepcą mu cichutko, jak to „zawsze smutny jest ten brzeg rzeki, że nie jest na tamtym brzegu" — budzi się czasem nocą, co „szeleści trwożna" i „z przerażeniem widzi *świat mniejszy od serca*".

Wgłębinach tego serca odnajdzie poeta niewątpliwie swą przyszłą drogę, tę od „czarnej kreski"! Świadczy o tem szlachetność tonu jego liryki, świadczą o tem jego nostalgiczne zadumy. Lada chwila nawiedzi go Zarathustra i powie mu: „Winieneś pragnąć, abyś się spalił we własnym ogniu: bo jako odnowić się chcesz, jeśliś się wprzódy w popiół nie zamienił?"

L.

*) Stanisław Baliński. „Wieczór na Wschodzie", Warszawa. 1928. wyd. J. Mortkowicza.

„Book of Common Prayer"

Opinja angielska żywo debatuje nad propozycją zmiany modlitewnika kościelnego. Od r. 1662 książka ta jest podstawą obrzędowości kościoła anglikańskiego. Kościół ten, jak wiadomo, powstał z rozkazu króla Henryka VIII. Rzym nie chciał mu udzielić rozwodu z Katarzyną Aragońską. Krewki autokrata pragnął wtedy ożenić się z Anną Boleyn. By zamierzenia swoje zrealizować, wyłamał się Henryk VIII z pod wpływów katolicyzmu i ufundował kościół anglikański. Zajmuje on miejsce pośrednie między katolicyzmem a protestantyzmem. Nabożeństwa odbywają się według rytuału katolickiego. Reforma dotyczyła podporządkowania spraw kościoła administracji państwa. Faktycznym kierownikiem jest każdorazowy prezes rady ministrów bez względu na wyznanie. Gdy Disraeli był prezesem ministrów — mianował biskupów tak, jak i Lloyd George, choć ten jest kalwinistą.

Kler anglikański zwolniony jest od celibatu. Po za tem przechodzi przez wszystkie takie sakry, jak i katolicki. Dogmatycznie i organizacyjnie kościół anglikański ma oparcie w państwie, co niebardzo odpowiada tendencjom kleru. Dostojnicy kościoła chcieliby znaleźć jakąś formułę, umacniającą dogmatycznie i organizacyjnie instytucję, której są filarami. Był czas, że szukali zbliżenia do kościoła prawosławnego. Po wybuchu bolszewizmu ruch ten z natury rzecz ustał. Teraz próbują nawiązać pewne nici z katolicyzmem. Na czele tego kierunku stoją duchowni reprezentujący stronnictwo „wysokokościelne". Mają oni obecnie na 34 biskupów 28 swoich reprezentantów. Z ich inicjatywy powstała tendencja zmiany modlitewnika z czasów elżbietańskich.

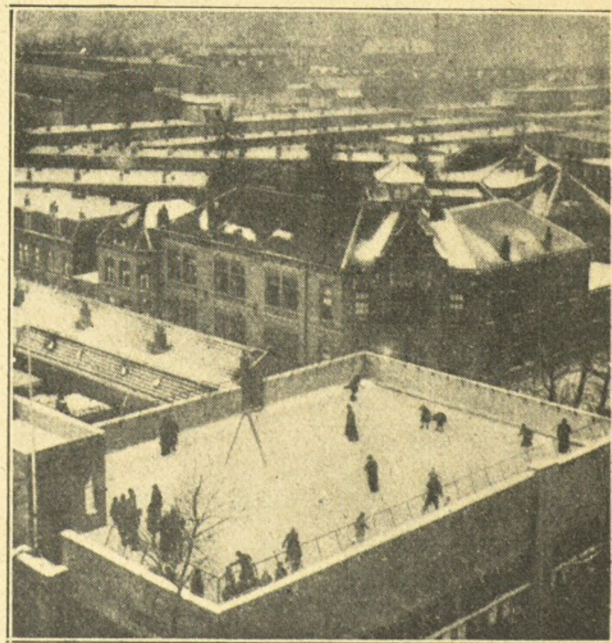
W izbie lordów wniosek przeszedł dość gładko. Parlament jednak postawił swój protest. Jest ciekawe, że nawet członkowie rządu głosowali rozbieżnie. W stronnictwach również oddawano głosy indywidualnie. Liberałowie tylko wotowali jednomyślnie i negacyjnie. Nawet komunista hindus Saklata wypowiedział mowę opozycyjną i głosował przeciw reformie.

Dla nas ludzi kontynentu angielskie te zwyczaje są dosyć egzotyczne. Ludzie obcych wyznań nie wtrącają się do ustrojowości, rytuału kościołów nie swoich. Anglicy pod tym względem posiadają inną psychologję i obyczajowość.

Wszczęta więc przez większość biskupów anglikańskich akcja w sprawie reformy modlitewnika przez głosowanie w Izbie gmin została sparaliżowana. Czy na długo? Oprócz biskupów większości „wysokokościelnej" w kościele anglikańskim istnieje jeszcze stronnictwo „nizkokościelne", kładące nacisk na ducha chrześcijańskiego, o tendencjach protestantyzmu, i „szerokokościelne", żądające przedewszystkiem działalności misyjnej.

Są to jednak ugrupowania drobne; w parlamencie okazało się, iż posiadają wpływ większy, niż biskupi.

ŚLIZGAWKA NA DACHU FABRYKI



W Utrechcie zarząd pewnej fabryki dla dzieci personelu urządził na dachu ślizgawkę

Katastrofa w Dzikowie

Kiedy po pożarze pałacu w Dzikowie czytałem opisy spalonej bibljoteki, machinalnie nasunęło mi się na myśl pytanie:

— Kto z tych książek korzystał? I zdaje mi się, że odpowiedź, jaką sam sobie dałem, nie będzie bardzo daleka od prawdy.

— Nikt.

Bo któż może korzystać z bibljoteki, zamkniętej w magnackiej rezydencji na wsi. Conajwyżej uprzywilejowani, zaproszeni wybrańcy. Ale to za mało. Mam wrażenie, że kiedy się tworzy wielką i cenną bibljotekę, to przewodnią myślą takiego dzieła musi być troska o szerzenie kultury w kraju, to znaczy, o udostępnienie zebranych skarbów tym wszystkim, których nie stać na zbytek nabywania potrzebnych książek. Wtedy można mówić o kulturalnem znaczeniu bibljoteki. Ale wyławianie najcenniejszych i najrzadszych druków i zamykanie ich w szafach na wsi, jak w więzieniu, jest raczej zubożaniem kultury narodu. Może to służyć ambicji i zadowoleniu jednej rodziny, ale dla społeczeństwa ma taką samą wartość, jak zaklęte skarby na dnie jeziora, o których opowiada się w bajkach. Tylko skarbom na dnie jeziora nic nie grozi i za temat do bajek mogą służyć wiecznie, a książki bardzo łatwo ulegają zagładzie.

*

W bibljotece dzikowskiej kryły się skarby. Coś dwieście pięćdziesiąt starych druków polskich, które według świadectw Estreichera były unikatami, pierwszy druk pieśni „Boga Rodzico", pierwszy polski druk krakowski z 1475 roku, szereg dyplomów i dokumentów. I to wszystko zaczęło się palić, jak słoma. Doniosłość skarbów zrozumiał zawodowiec sportowy, Alfred Freyer i służba, nawet dzieci. Rzucili się na ratunek książek i zbiorów i niektórzy z nich bohaterstwo swoje przepłacili śmiercią. Największa cześć należy się Freyerowi, który ten ratunek zainicjował. Gdyby nie to bezgraniczne poświęcenie, możeby spłonęło wszystko. I to właśnie budzi przykre zdziwienie. Przecież nauczyli się już ludzie zabezpieczać książki od ognia. Daje się w bibljotekach betonowe posadzki, żelazne półki. Więc jeśli się ma książki, posiadające wartość skarbów, to należy je strzec, jak skarbów. Biżuterje przechowywuje się zazwyczaj w opancerzonych safesach ,ale czyż pierwszy druk polski nie jest równie cenny, jak naszyjnik z pereł albo brylantowa kolja? Śmiem nawet twierdzić, że cenniejsze, bo już go nie można zastąpić niczem.

*

Według ostatnich wiadomości, podanych przez pisma krakowskie, straty w zbiorach nie są tak katastrofalne, jak się w pierwszych chwilach wydawało. Z bibljoteki zdołano ocalić prawie wszystkie rękopisy i 80 procent starych druków z inkunabułami włącznie. Tylko taka pocieszająca statystyka na razie mało pociesza, bo chodzi jeszcze o to, co się spaliło w tych 20 procentach, których nie zdołano ocalić, i w tych rękopisach, które suche „wszystko" zamieniły w pełne otuchy „prawie". W każdym razie pożar dzikowski powinienby uprzytomnić naszym magnatom tę prostą, jak się zdaje, prawdę, że wieś nie jest odpowiedniem miejscem na gromadzenie muzealnych zbiorów i bibljotek. Skoro mogli Czartoryscy założyć muzeum w Krakowie, Pawlikowscy we Lwowie, Krasińscy i Zamoyscy bibljoteki w Warszawie, to i reszta zbieraczy powinnaby pójść za ich przykładem i poprzenosić swoje kolekcje do stolicy, albo innych miast. Wymaga to pewnego nakładu energji, ale ileż trudów i wysiłków kosztowało Edwarda Krasińskiego dokończenie budowy bibljoteki w Warszawie. Za to bibljoteka ta jest już poważnem wzbogaceniem kultury narodowej.

Mnóstwo bezcennych dzieł sztuki i książek poginęło podczas wojny właśnie dlatego, że były przechowywane po wsiach. W miastach te zbiory by ocalały. Jeśli posiadaczy nie stać na budowanie własnych gmachów muzealnych i bibljotecznych, niech umieszczają zbiory w muzeach i bibljotekach publicznych. Własne sale z uwiecznieniem nazwiska fundatora mogą również chyba dobrze zaspokoić ambicje rodowe, jak przestarzały już i feodalny sposób tworzenia kruków przy pałacach i zamkach. A nim magnaci nasi sami dojdą do wniosku, że najpiękniejszym sposobem użytkowania zbiorów jest oddanie ich ogółowi, powinien jeszcze wejrzeć w tę sprawę rząd i zbadać, czy prywatne zbiory po wsiach są odpowiednio zabezpieczone od katastrof, a gdyby się okazało, że nie, takie zabezpieczenie nakazać. Skoro się ochrania lasy, można ochraniać dzieła sztuki i bezcenne druki. To jest także narodowe bogactwo.

Katastrofa dzikowska stwarza doskonałą okazję, żeby się niem zająć.

Włodzimierz Perzyński

Powiedzenia, powiedzonka...

„Wielu marszałków napoleońskich — mówi Władysław Mickiewicz na początku drugiego tomu swoich „Pamiętników", wydanych obecnie przez Gebethnera i Wolffa — póki cesarz żył, było ludźmi na miarę Plutarcha; z chwilą zaś, gdy upadł, stawali się oni dygnitarzami na dworze Ludwika XVIII, Karola X, lub Ludwika Filipa; kiedy w kronikach zjawiały się ich nazwiska, czytelnicy nie mogli wyjść z podziwu: „Jakto? Więc oni jeszcze żyją?" Zamiast figurować w biuletynach Wielkiej Armji, brali udział w uroczystościach tuileryjskich. „Monitor" donosił, że taki a taki marszałek dostąpił zaszczytu i został przyjęty przez monarchę. Niektórzy z nich zostawali nadto ministrami Burbonów lub Orleanów, różniąc się od innych swych kolegów jedynie świetną przeszłością, w stosunku do której ich teraźniejszość przedstawiała się bardzo opłakanie.

— — — — — — — —

Na stronicy 8-ej tego samego, niezmiernie interesującego „Pamiętnika" czytamy taką uwagę: „W Rosji bowiem stokroć bardziej, niż w jakiemkolwiek innem państwie, lepiej jest mówić niewiele".

Upadł carat, rządzą Rosją skrajni socjaliści, ale uwaga Władysława Mickiewicza nadal jest aktualna.

— — — — — — — —

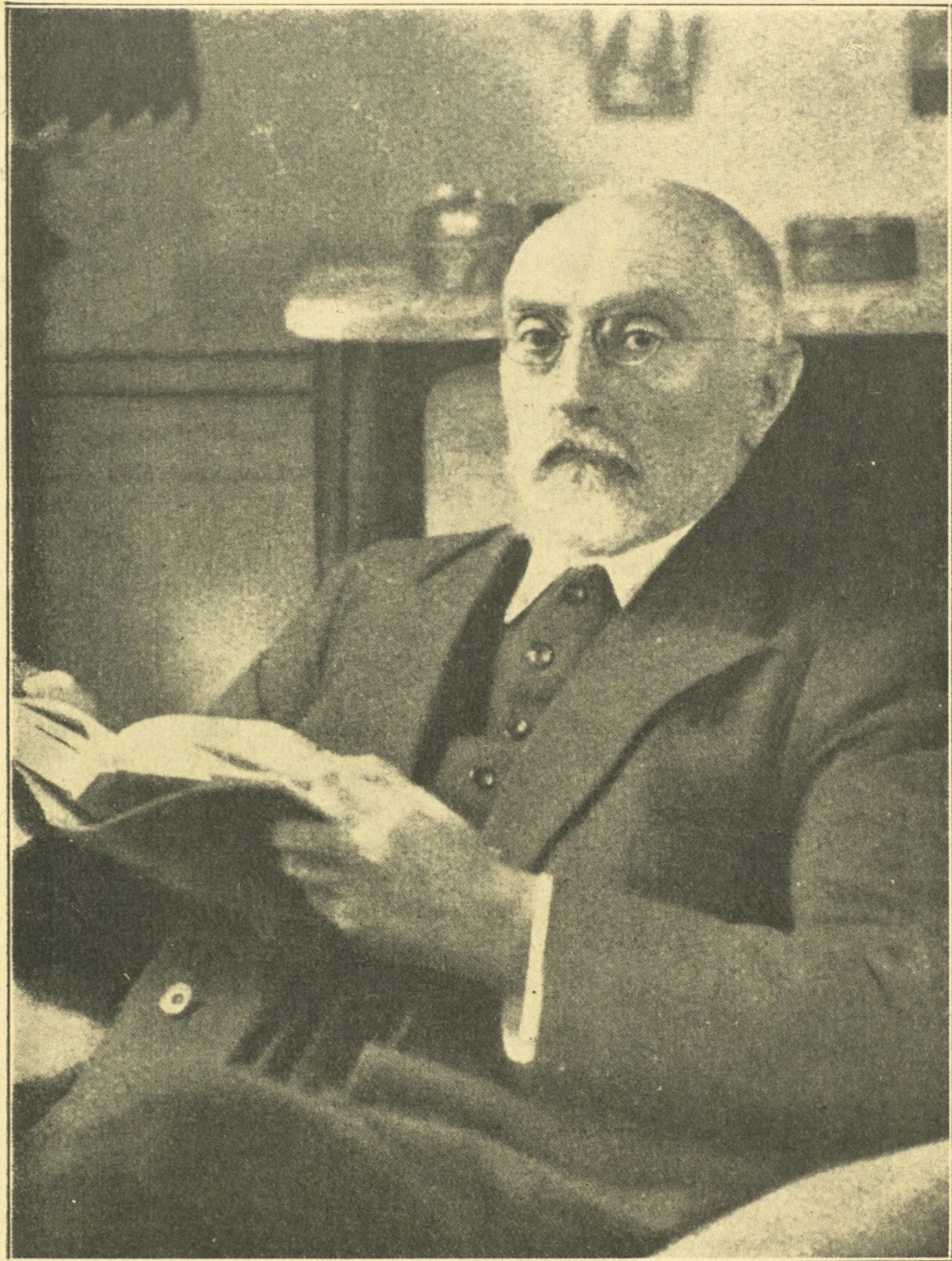
O pewnym marszałku szlachty na Ukrainie Władysław Mickiewicz notuje: „Był on bardzo brzydki, żona zaś jego bardzo piękna. „Możnaby go nazwać — mawiał jeden z adoratorów pani Horwattowej (marszałkowej), ohydną gąsienicą na pięknej brzoskwini".

— — — — — — — —

Wspaniałe!

Władysław Mickiewicz, znalazłszy się w sprawach konspiracyjnych w Kijowie, poznał pewnego studenta rosyjskiego. „Przyszedł do mnie — opowiada Mickiewicz — pewien student rosyjski, prosząc, bym użył swego wpływu w celu zjednoczenia stowarzyszenia studentów rosyjskich ze studentami polskimi, chociażby chwilowo. Byłem wzruszony tem wystąpieniem i pytałem, jaka jest tego przyczyna. „Bardzo prosta — odrzekł — co roku kasjer naszego stowarzyszenia ucieka, pozostawiając kasę pustą. Ani razu podobny wypadek nie zdarzył się polskiemu stowarzyszeniu".

A. B.



Dr. Edward Boyé

„Życie Don Quichota i Sanchy" nie miałoby żadnej wartości, gdybym w mojem życiu nie starał się usilnie naśladować głupiego kawalera sprawiedliwości.

Pański oddany
Miguel de Unamuno.

Hendaye 13.VII.26.

HISZPANJA WSPÓŁCZESNA

DON MIGUEL de UNAMUNO*)

Na kilkanaście lat przed sześcioma postaciami dramatu, buntującemi się Ludwikowi Pirandello na Sycylji, inne „dramatis personae" zrewoltowały się na półwyspie Iberyjskim. Tym razem był to Don Quichote i Sancho Pancha. Tamci szukali na rampie scenicznej autora, pierwszego lepszego autora, byleby ich tylko na świat wyłonił, ci przez kilka wieków musieli wlec się po świecie szlakami nieprawdopodobnych awantur i przygód, aż wreszcie wśród wąskich, średniowiecznych uliczek Salamanki odnaleźli dom Miguela de Unamuno Cervantes nie dorósł do swego bohatera. Słynny szaleniec z La Mancia duszą swą przewyższył wielokrotnie duszę „El Manco de Lepanto". Dlatego też Miguel de Unamuno nie jest Cervantystą; jest wyłącznie i jedynie Quichotystą. Stosunek pierwszego twórcy do Don Quichota był raczej negatywny. Ilekroć biedny rycerz wkładał zardzewiałą zbroicę i kłując ostrogami wychudzony bok Rossynanta, wyruszał na połowy gwiazd, Cervantes wykrzywiał się za jego plecami ironicznym grymasem szyderstwa. „Dziewkę od krów czynił symbolem nieśmiertelności, wielkoludów widział tam, gdzie były tylko wiatraki"?

—Niech będzie błogosławione szaleństwo — odpowie oburzającym się racjonalistom Miguel de Unamuno—skoro ono zapładnia duszę i czyni ją zdolną do czynu twórczego!

Stosunek drugiego twórcy graniczy zatem z uwielbieniem. Unamuno gloryfikuje hidalga, a jednocześnie szczerze mu zazdrości. Szaleniec tylko wtedy może być szczęśliwy, kiedy nie wie o swojem szaleństwie. Takiego dziecinnego szczęścia nieświadomości pełen był Don Quichote: Pisarz współczesny, któremu wszystkie sprzeczności dzisiejszego życia są dobrze znane, którego duszę poryły ostrza nielitościwych analiz — już tej szczęśliwości dostąpić nie może !

Niektóre strony pamiętnika: „Los recuerdos de mocedad y juventud" zaszlochają później spazmem tęsknoty za utraconym rajem dzieciństwa. Przypomnijmy sobie symboliczny obraz z poezyj Rabindranath'a Tagore... Małe dzieci nad brzegiem huczącego oceanu bawią się różnokolorowemi muszelkami. Nie rozumieją grozy żywiołów, ani przeznaczeń, tak jak i Don Quichote nie rozumiał grozy ludzkiego śmiechu. Miguel de Unamuno, jako pisarz-filozof, rozwiązuje nieustannie zagadkę naszego losu, na istotę ludzkiego szyderstwa patrzy oczami Giordana Bruno. Zarówno w „Gli eroici furrori", jak i w „Sentimiento trajico de la vida" miłość heroiczna jest własnością natur wyższych, zwanych „insani" nie dlatego, że „nie-wiedzą" („nonsanno"), lecz, że „nad-wiedzą" („sopre-sanno").

Świat składać się będzie zawsze z Don Quichotów, jako jednostek, i Sancho - Panchów, jako mas.

Lecz wśród wulgarnych, spasionych giermków mogą być różne typy. Są tacy, którzy mimowoli ule-

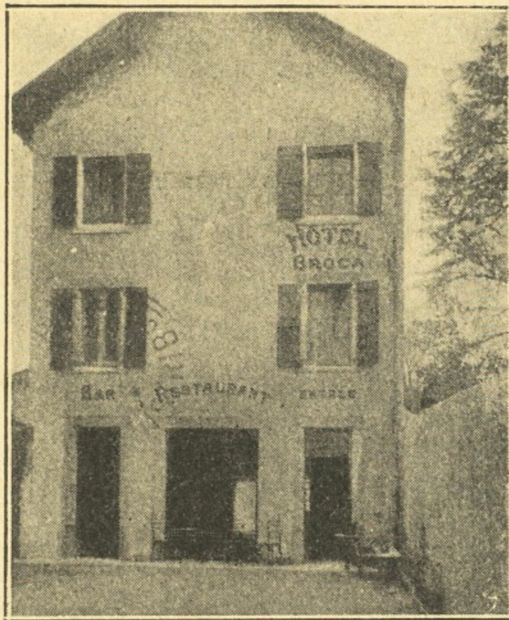
*) W najbliższym czasie nakładem firmy wydawniczej „Rój" ukażą się dzieła Unamuna „Trzy nowele nadzwyczajne" i „Mgła" w przekładzie Edwarda Boyé.

gną wpływowi szaleńców z La Mancia, są i ci, którzy na te wpływy najgłuchsi pozostaną. W znaczeniu pierwszem być Quichotystą, będzie znaczyło dla Unamuna być poniekąd także Sancho-Panchystą, a być Sancho - Panchystą, to znaczy znów być Quichotystą. Don Quichote, mimo niezachwianej w samego siebie wiary, potrzebował jednak rezonansu ufności w sercu giermka, tak samo i Sancho, oderwany od rodziny i domu, przytłoczony nawałem fantastycznych awantur, musiał ulegać powoli „chorobie wiary". Unamuno pragnąłby, aby tą chorobą zaraziła się od Hiszpanji Europa, to znaczy, aby się „hispanizowała", ucząc się komicznego heroizmu rasy iberyjskiej: Quichotyzmu, jako religji narodowej. Dla Unamuna prawdziwym Chrystusem jest Don Quichote, ukrzyżowany w naszych sercach — ukrzyżowany przez sceptycyzm współczesny, przez materjalną kulturę współczesnego świata. Zmartwychwstanie, gdy serca niewiernych Tomaszów poczują znów łaskę wiary. Ku Quichotyzmowi prowadzi nie rozum, lecz szaleństwo, płomień wewnętrzny, przepalający kamienną grudę rzeczywistości, ekstaza duchowa! Unamuno, spadkobierca wielkich ekstatyków hiszpańskich, jest bardziej od nich wszechludzkim poszukiwaczem Boga, ponieważ w swej duszy indywidualnej utracił już grunt, w który tamci rzucali pełną dłonią kotwicę swej dziecinno - średniowiecznej wiary.

Walka między prawdą uczucia a prawdą myśli, albo, jak on sam mówi — „entre la veracidad y le sinceridad" jest jego „raison d'etre". „Sentimiento trajico" to bezpośrednie tych walk odzwierciedlenie, tak zresztą, jak i „El Christo de Velazques", książka, poświęcona rozmyślaniom nad patetycznym obrazem w „El Prado". Niema zapewne dwóch ludzi tak dalekich od siebie, jak Velazques i Unamuno. Pierwszy, niewieści duch południa, pełen gracji i formy, drugi — wcielenie męskiej siły północy. Można było przypuszczać, że Unamuno oddali się od obrazu, aby z perspektywy oglądać płótno sewilczyka — tymczasem autor „Don Quichota" ujrzał na tem płótnie odbicie swego, wewnętrznego Chrystusa. Unamuno już w swej książce „Ensayos" powiedział, że dzieło sztuki, jako takie, nie istnieje; jest jedynie tem, co w niem widzimy ,lub tem, co w nie wkładamy. Z „Chrystusem" Velazques'a stało się więc podobnie, jak i z „Don Quichotem" Cervantes'a. Oba dzieła były tylko punktami wyjścia. Wszystkie trzy wspaniałe prace, komentarze liryczne do filozofji narodowej: „La Vida de Don Quichote y Pancho", „Sentimiento trajico" i „El Christo de Velazques" żyją własnem, nieśmiertelnem życiem natchnienia, niezależnem od Cervantes'a, czy Velazques'a.

Książki „Por la tierra de Espana y Portugal", oraz „Entorno al casticizmo" są przewodnikami po półwyspie Iberyjskim. „Casticismo" odpowiada słowu „puryzm" i pochodzi od przymiotnika „castizo", który z kolei wiedzie swój ród od „casto", czyli „czysty".

Kastylja była dla Hiszpanji tem, czem Toskanja dla Włoch. Stworzyła język i literaturę, dlatego też



Hotel Broca w Hendaye, gdzie obecnie mieszka Unamuno

„castizo" jest synonimem kastylijskiej tradycji.

Książka „Przez ziemię Portugalji i Hiszpanji" stoi na pograniczu prozy i poezji. Wzbiorach wierszy najpiękniejszy jest poemat o ptaku, ginącym w falach oceanu. „Muere en el mar, el ave que volo del nido", oraz „Krzak różany sonetów lirycznych". Niektóre przypominają Wordswort'ha, inne „Ozymandias of Egypt" Shelley'a. Krytyka hiszpańska zgodnie podkreśla, że są to najpiękniejsze sonety, jakie kiedykolwiek w języku kastylijskim napisane zostały. Miguel de Unamuno, rektor uniwersytetu w Salamance, profesor literatur klasycznych, filozof, poeta, krytyk i dziennikarz — jest także znakomitym powieściopisarzem i dramaturgiem.

Powieści i nowele Unamuna wkraczają w zakres techniki dramatycznej, a dramaty („El peso que vuelve". „Nada menos que un hombre") w zakres techniki powieściowej. Świat zewnętrzny sprowadzony do minimum. Jak u Maeterlinck'a, akcja odbywa się w sferze ducha. Gdy wyeliminujemy wszystko materjalne, nowele staną się szkieletami nowel, a akcja konfliktem dusz.

Namiętność i pasja dominująca bohaterów jest warjantem jedynej namiętności Unamuna, głodu pełnego życia. Abel Sanchez, inkarnacja współczesnego Kaina, Raguel z „Dos Madres" i Karolina z „El marques de Lumbria, Alejandro Gomez, bohater „Nada mensor que un hombre" z rasy bezwzględnych zdobywców życia, wszyscy oni są tylko Don Miguelem de Unamuno.

Zresztą tego właśnie należało od poety lirycznego oczekiwać. Niektórzy krytycy patrzą na postacie Unamuna, jako na „chodzące argumenty" — a jednak nikt zanegować nie może, że autor, tworząc, miał w duszy pełne ich życia poczucie. Są ludzcy, ogromnie ludzcy, a zarazem wyłącznie i jedynie hiszpańscy. W dziełach Unamuna Hiszpanja żyje tak, jak Rosja w powieściach Dostojewskiego, lub Anglja XIX w. u Jane Austen'a.

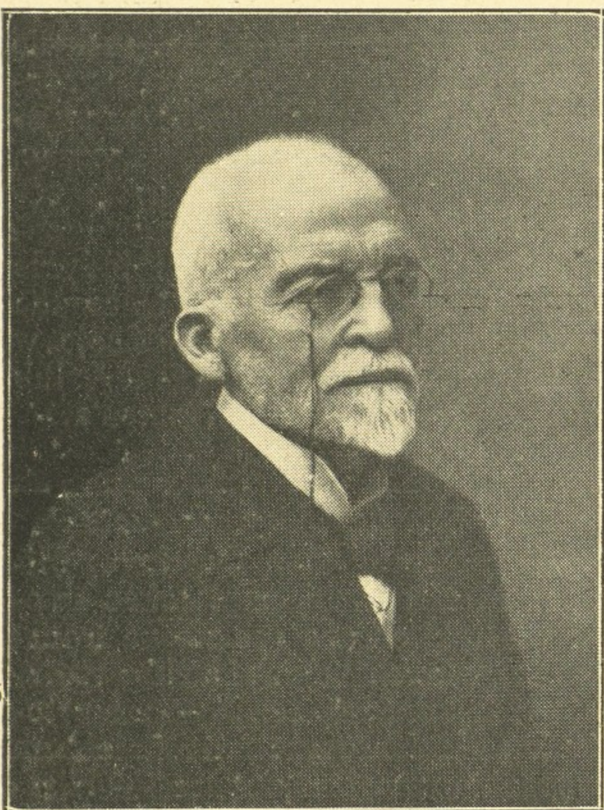
— — — — — — —

Współczesny Don Quichote, Miguel de Unamuno, miał także swoje wiatraki, obracające się na transcendentalnych skrzydłach: teologję, racjonalizm, jezuityzm i ortodoksję inkwizycyjną. Ze śmiechem wyrzekła się go Dulcynea — Hiszpanja. Dekretem Primo de Rivery wygnany z granic kraju na wyspę afrykańską Fuerte-Ventura, został przed trzema laty tryumfalnie wykradziony przez pisarzy francuskich i na stateczku L'Aiglon przewieziony do Havru. Od tego czasu paryska „La Rotonde" stała się azylem hiszpańskiej myśli twórczej i hiszpańskiego republikanizmu. Później samotnik z Salamanki, znużony gwarem wielkomiejskiego życia, przeniósł się na stały pobyt do Handaye. Tam w kraju basków, mając przed oczyma granicę ukochanej ziemi, oczekuje daremnie na podróż do kraju. Nie pomogły protesty całego cywilizowanego świata, akcja D'Annunzia, listy Romain Rolland'a, deklaracje Ligi Obrony Praw Człowieka i Obywatela w Lidze Narodów. Rząd Primo de Rivery okazał się „silniejszym". „Summa sedes non capit duos".

Edward Boyé

Z TYGODNIA

Zmarł wielki jałmużnik Polski, zdumiewający człowiek, który bez walki zbrojnej odzyskał dla Polski całe prowincje. Czy bez działalności Antoniego Osuchowskiego polskość Śląska Cieszyńskiego byłaby tak oczywistą, jak się nią okazała w powojennej chwili przełomowej? Czy to nie prowadzona przezeń w najtrudniejszych warunkach akcja oświatowa uświadomiła szerokie warstwy ludności tamtejszej o swej przynależności narodowej? Osuchowski przez całe swe życie prowadził walkę z najazdem. Jego bronią był elementarz polski, polska książka do nabożeństwa, polskie wydawnictwa.



Ś. p. A. Osuchowski

Czyż może być dla całej ludzkości piękniejszy wzór do naśladowania?

Ten skromny, cichy, niepozorny adwokat, łagodny, w słowach ostrożny, — był w istocie najniebezpieczniejszym wrogiem potężnych zaborców. Ze społeczeństwa polskiego umiał wydobyć utajone siły i porywy, potrafił je organizować, pchał do walki kulturalnej. Nie zrażał się przeciwnościami. Od znanych ze skąpstwa i sobkostwa obywateli wyciągał ogromne sumy na cele narodowe.

W potrzebie bywał nieustępliwy, nie zrażał się odmową, powracał do ataku, aż wreszcie odnosił zwycięstwo. We wszystkich ugrupowaniach, partjach i warstwach społecznych jednakowym cieszył się szacunkiem. Bo życie poświęcił służbie dla narodu.

Parę tygodni temu byłem u Niego, w staroświeckiem mieszkaniu przy ul. Senatorskiej. Sędziwy wiek pochylił Go, ale nie odjął energji. W kancelarji pracowało kilka osób. Dziwna to była kancelarja tego znakomitego mecenasa: było to jakieś małe ministerjum oświaty narodowej. On sam zasiadał w pokoju obok, zawalonym stosami książek i broszur, które stąd szły w wielkiej ilości tam, gdzie trzeba podtrzymywać polskość, budzić uczucia narodowe. Osuchowski był tym wielkim wodzem, który spieszył z ratunkiem i pomocą każdej zagrożonej dzielnicy. Gdy zaczynał mówić o tem, co jest jeszcze do zrobienia, co należy czynić, zmęczone jego oczy, za szkłami ukryte, nabierały blasku i życia, zwątlałe ciało— sprężystości i siły. Zaiste, ten cudowny człowiek był jakby uosobieniem Polski porozbiorowej, walczącej o swą niepodległość, nie tracącej nigdy wiary w ostateczny tryumf.

Cała Polska składa hołd Twej czcigodnej pamięci, Wielki Jałmużniku Narodowy!

. . . .

Odczuwam zawsze głębsze, radosne wzruszenie, gdy spotykam się z nowym, młodym talentem twórczym. Takiego wrażenia doznałem, czytając tom nowel nieznanego mi dotychczas pisarza: „Zieloną kadrę" Jerzego Kossowskiego. Krytyka znajdzie w tej książce usterki, bo zwłaszcza poprawność języka pozostawia do życzenia. Rzeczą krytyki jest szukać dziur nawet na całem. Dla mnie te usterki są małej wagi— wyzbyć się ich tak łatwo!... — gdy z każdej niemal stronicy bucha jędrny, świeży, mocny talent twórczy, niczem pęd czystego, rzeźkiego powietrza! Nowele Kossowskiego nie przypominają zgoła jałowych kombinacji mózgowych, wypoconych w mozolnej pogoni za sztuczną i pretensjonalną oryginalnością. Niema w nich papierowej literatczyzny. Bije natomiast szczerość, fantazja, temperament, szczere odczucie natury; nawet pewna nieporadność pisarska ma swój wdzięk swoisty. Witaj, młody kolego!

A Perzyńskiego każdy rok teraz odmładza. Nigdy nie był w tak świetnej formie! Czytajcie ostatni jego tom nowel „Znamię". Jakie w tem życie, dowcip, rozmach w ujmowaniu tematów, dosadność charakterystyki, jaka kultura pisarska! Przysłowie mówi, że złudzenia traci się wraz z włosami. Perzyński zaprzecza tej mądrości narodów. Odkąd zdobył się na czyn heroiczny i zgolił resztę włosów (fryzjer nie napracował się zbytnio), jego sceptycyzm zachwiał się, w jego pogardzie dla przeciętnych istotek ludzkich przebłysło jakieś tkliwsze uczucie, — trochę litości, nawet odrobinę wiary, „że trafiają się na tym Bożym świecie także ludzie uczciwi i dobrzy. I jaki wysiłek pracy. W „Teatrze Narodowym" „Lekarz Miłości". Druga sztuka na ukończeniu. Nowa powieść w robocie... A przytem żadnej pozy, żadnych pretensji do narodu, zawsze łagodny, cokolwiek ironiczny uśmiech na ustach... Kochany Perz!

. . . .

A ostatnia powieść Konara „W pogoni za szczęściem", wydana przez ruchliwą księgarnię Hoesicka? Naszym czytelnikom nie jest obca: drukowaliśmy ją w „Świecie".

Dorobek literacki Konara, to owoc długoletniej, nieprzerwanej pracy, wnikliwego talentu obserwacyjnego, umysłu głębszego. Uczucia Konara były zawsze po stronie słabszych i cierpiących, lecz nawet dla tego zamożnego mieszczaństwa, którego życie analizuje z tak subtelną ironją, nie żywi nienawiści, nie potrafi być okrutnym. Rozumie, że samolub nie może być nigdy szczęśliwym, że człowiek, wyzuty z wyższych ideałów, skazany jest na życie beznadziejnie szare, i że nudy tego życia nie wypełni dobrobyt i komfort. Powieści Konara tak znakomicie obrazują życie obyczajowe przedwojennej Warszawy, że dla przyszłego historyka będą materjałem niezwykle cennym. Ale prócz tego potrafi on zajrzeć do głębi małych duszyczek mieszczańskich, odsłonić ich utajone żądze, ambicje, aspiracje, miałkie radości i płytkie smutki, — lubo cierpieć potrafi zarówno człowiek mądry, jak głupi, i w cierpieniu jednako godzien jest litości.

„Pogoń za szczęściem", to analiza przeżyć burżuazki warszawskiej, która daje się ponieść nieuchwytnej tęsknocie za innem życiem, niż to, które prowadzi w swoich zbytkownych apartamentach, od wszelkich trosk zabezpieczona. Ale by wznieść się wysoko, trzeba mieć skrzydła, których tej małej filisterskiej kobietce zgoła brakuje. Więc jej pogoń za szczęściem jest jednym łańcuchem nieporozumień, zawodów, upadku... Dla mrzonki o lepszem, bujniejszem życiu opuszcza męża, córeczkę, włóczy się po Paryżu, po Włoszech, daremnie walcząc z brakiem talentu, z brakiem tych wewnętrznych wartości,

które tworzą artystkę. Jakże tragiczną jest scena, opowiedziana przez Konara spokojnie, z tą powagą prawdy, którą go cechuje: po wielu, wielu latach pani Hela mieszka samotna, opuszczona, w Neapolu. Żyje nędznie z lekcji, wszystkim obca. W ogrodzie publicznym spożywa na ławce skromny posiłek, wyjęty z zatłuszczonego papieru, gdy obok przechodzi młoda para cudzoziemców, radosnych, zakochanych. Mówią po polsku... Pani Hela drgnęła, a serce jej ścisnął nagły skurcz... Ta młoda polka, która przysiadła na chwilę obok niej, zmierzywszy ją obojętnym wzrokiem, to jej córka... Córka nie poznała matki, która ją przed kilkunastu laty odjechała.... i matka nie ma odwagi dać się jej poznać, nie chce zakłócić jej radości... Młoda para odchodzi, przekomarzając się wesoło, a ta nieudała, bezdarna prometejka wiedzie za córką spojrzeniem, zdrętwiała, onieprzytomniona z bólu....

Można-ż było mocniej i głębiej ująć konflikt matki, — nie zasługującej na pobłażanie, na współczucie,—a jednak wzruszającej głębią cierpienia!....

Zaiste, najistotniejsze uczucie ludzkie, to miłość matki do dziecka. Gwałt zadany temu uczuciu, to zawsze jeden z najokrutniejszych dramatów życiowych.

skrz.

Nocne życie Berlina

Stolica Niemiec w świątek i piątek

(Od własnego korespondenta berlińskiego)

Berlin, w styczniu

Noc. Friedrichstrasse i plac koło Gedächtniskirche toną w powodzi kolorowych świateł. Murzyn Sarotti'ego wywraca na Kurfürstendammie swoje elektryczne gałki. Kupferberg-Gold ma zły smak ale dobrą perlistą reklamę. Sławny ongiś Palais de Danse zbankrutował. Nic to! Jeden za drugim zjawiają się coraz nowe lokale: Casanova, Florida, Olymp, Villa d'Este. Trzyma się jeszcze z garstką rycerek Barberina, ale naokoło drżą mury od Her Darlings Band, „króla tango" Valentin - Comero, księcia jazzbandu Juljana Fuhsa, Marka Webera, rosyjskiej kapeli Domra i tylu, tylu innych. Wszędzie bary, coktail'e, flipsy, „Manhattan", „Ohio" (brandy, szampan i jedna wiśnia). Hoppla, wir leben! Pardon: omyłka; tytuł ten należy do komunistycznego reżysera p. Piscatora, a to już jest druga — choć nie odwrotna strona— medalu....

„Berlin macht sich", „Berlin się wyrabia". Tak i nie. Tak — bo ma z powrotem swoją krzykliwą fasadę nuworisza, naśladującego Paryż, Londyn, Wenecję, no a przedewszystkiem Nowy York. Orkiestra tak samo sadowi się w wielkich kinach - pałacach, jak w mieście drapaczy nieba; dorożki samochodowe mają te same paski i „kara". Toalety są równie drogie i niegustowne — albo z Paryża. Ruch uliczny nie dorównywa nawet paryskiemu, ale są wieże do uregulowania ruchu i trzykolorowe światło, i niepozorny samochód, wysuwający szyldzik dla drugiego samochodu, który go chce minąć: „Bitte 35 Kilometer. Die Polizei". „Berlin macht sich". Nie. Bo to nocne życie jest drogie, jednostajne i pozbawione zarówno owego, „je ne sais quoi" z nad Sekwany, jak też rozmachu „bliskiego Wschodu" i krajów blizkich bliskiemu Wschodowi: Warszawa.

Ktoś mądry powiedział (inaczejbym go nie cytował!), że znamieniem dużego miasta jest posiadanie dwóch ulic: Warszawa ma Nowy Świat i Marszałkowską; Berlin Friedrichstrasse i Kurfürstendamm. Dzielnica ulicy „Frydrychowskiej (jak mówi niełatnie ale składnie tutejsza Polonia) zwie się krótko Friedrichstadt. Tu jest Eldorado dla nietyle bogatych, ile grubych „wujaszków z prowincji". Słynne z czasów przedwojennych, obrzydliwe Café National zniknęło; bawili się tam „wujaszkowie z prowincji" z paniami powyżej lat czterdziestu i powyżej stu kilo; trzeba było dobrze mieć w czubku, aby po pięciu minutach nie uciec z tej hali targowej. Niema, zniknęło — policja zamknęła. Zato jest Jägerstrasse — ulica Myśliwska — nomen omen. Siedlisko Libelli, Indry, Weisse Maus e tutti quanti. Kabaret, bar, drogie wino (lura), partnerki do tańca. Na rogu stoją portjerzy i „szleperzy": już masz w ręku pięć programów, rzekome passe-partout, „bilet honorowy"; ale: garderoba kosztuje markę lub dwie, za podatek też chcą „zwrot kosztów". Jägerstrasse nie liczy na „berlińczyków", którzy raz wypiją butelkę marnego wina za czternaście marek i już nie wrócą. Od czego są przyjezdni? Clou Friedrichstadt stanowi „zielony tydzień", kiedy to z całych Niemiec przyjeżdżają do Berlina właściciele ziemscy na wystawę rolniczą i poważne odczyty. Pierwsze pociągi pełne są agrarjuszów; w następnych podąża do „stolicy grzechu" legjon zazdrosnych żon..

Druga ulica: Kurfürstendamm i Tauentzienstrasse. „Berlin światowy". Rosjanki, bogate Niemki, gogusie, cudzoziemcy. Przeważają typy hiszpańskie i prawie hiszpańskie. Sukienki lub futra kończą się na wysokości uda; olśniewające jedwabne pończochy. Młodzież męska w oxfordach tak szerokich, że cały Oxford by się w nich zmieścił. Kina, restauracje, luksusowe magazyny i dancingi. Szczelnie zapchane kawiarnie wiedeńskie i cukiernia rosyjska. Są lokale popołudniowe, są wieczorne. Co miesiąc otwarcie nowego lokalu. Architektura wnętrz często b. ładna, jedzenie zwykle nieszczególne. Lokale nocne otwarte są jedynie do trzeciej. O tej porze kończą się popisy tancerzy z Casino de Paris lub Ziegfield Folies, N. Y. Ostatnie butelki szampana idą na stół; służba, jeśli może, dostawia parę pustych. (Ten obyczaj na całym świecie). Dwadzieścia marek butelka — szampan niemiecki, nic nie wart; dokoła roznoszą bonbonierki i niedźwiadki, za które, broń Boże, możesz zapłacić drugie tyle. Nocny Berlin Kurfürstendammu nie ma w sobie nic specjalnego: jest typową dzielnicą międzynarodowego miasta. Znawcy zapewniają mnie, że barv w Szanghaju są znacznie lepsze.

Berlin się bawi. Nic to, że tysiączne rzesze nie mają za co kupić kawałka chleba. Bezrobocie w Niemczech przewyższa miljon. Nędza berlińska nie pokazuje się na ulicy, ale istnieje i cierpi. „Jak w każdem wielkiem mieście".

Sylwester obchodzony był w Berlinie hucznie i wesoło. Pisać o zabawie w noc noworoczną w Berlinie jest dziś bardziej niebezpiecznie, niż atakować Hindenburga. Pan Blun, korespondent „Journal'a", pozwolił sobie np. w swej korespondencji Sylwestrowej z Berlina na zbyt pohopne uogólnienia na temat „lekkości obyczajów" kobiet niemieckich w tę noc. Prasa niemiecka zajadle rzuciła się na niego i żąda wydalenia go z Niemiec za „obrazę kobiety niemieckiej". Kolega Georges Blun, nawiasem mówiąc, parokrotny prezes Związku Dziennikarzy Zagranicznych w Berlinie, napewno nie chciał obrazić kobiety niemieckiej; przesadził nieco w opisie, to prawda. Więc: nie wiem, czy bawiono się za wesoło; że zabawa była huczna i kosztowna — to fakt. Bardzo śmieszne, choć często zbyt niemieckie były niespodzianki sylwestrowe; pomysłowość coprawda wielka: murzyni — pajace, wywracające gałkami i bijące w takt jazz-bandu; metalowe płytki, które, rzucone na ziemię, wydają łudząco dźwięk tłuczonego szkła ku wielkiemu przerażeniu gospodyń; zapalniczki, dające zapalającemu porządnego pstryka; wreszcie— „etwas ganz spezielles — rulon papieru toaletowego: skoro się odrywa kawałek papieru, zaczyna grać muzyka; za rulonem schowany jest werk szwajcarski, grający kuranta; cena — 15 marek.

Punkt dwunasta — wystrzały z moździerza, dwanaście uderzeń w dzwon i — strzelanina, mimo zakazów policyjnych wiwaty, że aż miło. Potem: ruch na ulicy; trochę sztucznie, w miarę wesoło i wulgarnie, ale ruch. (Żeby pan tak napisał, kolego Blun, niktby się pana nie czepiał; ale poco dawał pan swoim czytelnikom szczegóły — prawdziwe lub rzekome — ale zawsze niepotrzebne?)

Na tem kończę opis Sylwestra.

Dr. Alfred Bzowiecki

JUBILEUSZ MIECZYSŁAWA FRENKLA

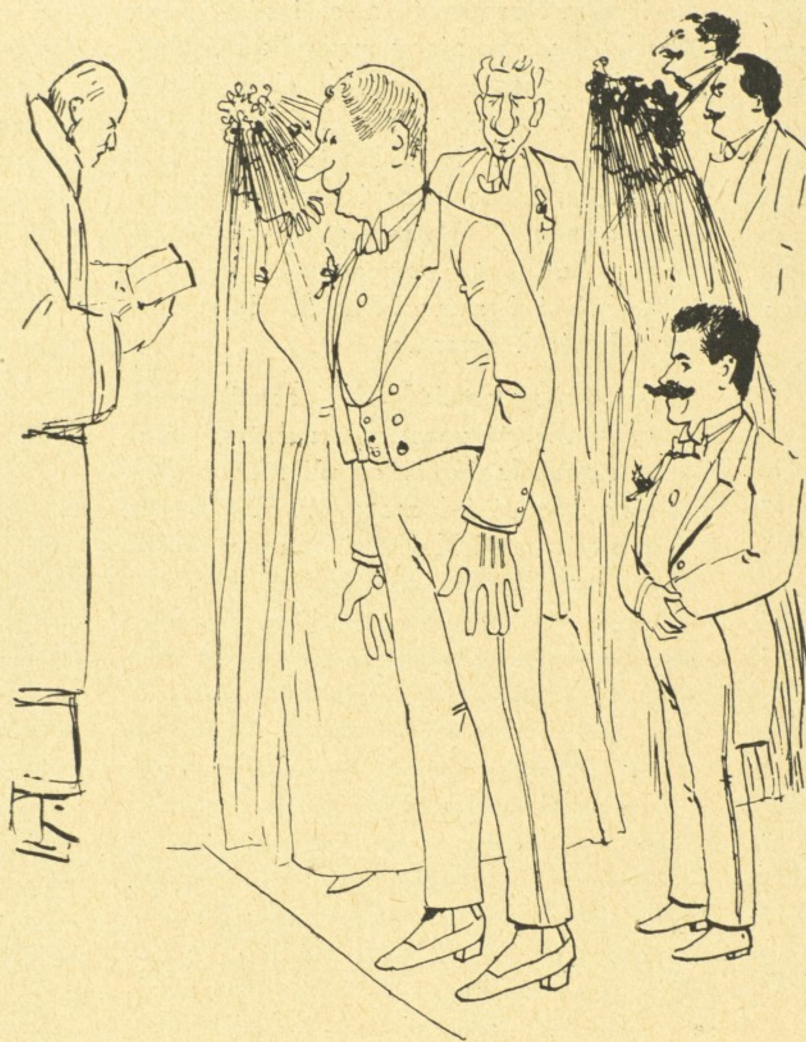
Pięćdziesiąt lat pracy scenicznej! Naprzód — w Krakowie i Lwowie. A blisko od czterdziestu lat — bez przerwy w „Rozmaitościach" warszawskich, które przed paru laty przeobraziły się w Teatr Narodowy. Oto jubileusz, jakiego dawno nie święcono! Wielki wysiłek pracy. I wielka wytrwałość, bez odchyleń, bez wyrw.

Pamiętam pierwsze „gościnne" występy Frenkla w Warszawie, Prezesem teatrów warszawskich; był podówczas senator Gudowski. Zgon Żółkowskiego wytworzyl w zespole Rozmaitości niepowetowaną lukę. Miłośnicy teatru—a był ich wówczas legjon — biadali.

— Strata niezastąpiona! Koniec teatru! Bakałowiczowa, Królikowski, Żółkowski — zmarli. Popielka opuściła scenę!

Za kulisami jednak mówiono o młodym artyście, który, przeniósłszy się z Krakowa do Lwowa, stał się tam wprędce ulubieńcem publiczności. Frenkiel! W Warszawie nikt go nie znał. Wahano się długo, wreszcie senator zadecydował: — Zaprosić!

To pierwsze zetknięcie artysty z publicznością warszawską było najeżone kolcami. Warszawa miała żywo w pamięci Żółkowskiego, jego niezrównane kreacje. We wspomnieniach, pełnych żalu, kreacje te błękitniały, stawały się poniekąd legendą. Cóż to za śmiałek, który waży się narażać na porównanie?



Ślub M. Frenkla w karykaturze St. Lenca.

Frenkiel był nieco przytłoczony temi reminiscencjami. Krytyka przyjęła go życzliwie, nie szczędząc pewnych zastrzeżeń. Od czegóż krytyka! Publiczność, nawykła do bezpośredniego humoru Żółkowskiego, do jego operowania najniezawodniejszemi środkami, by upragniony śmiech wywołać, stropiona była powściągliwością Frenkla. Wydał się chłodny. Podobał się, bo nikt nie mógł mu odmówić talentu, ale jeszcze nie było między nim a salą bliższego, cieplejszego kontaktu. Frenkiel wyszedł ze szkoły Koźmiana, który gardził łatwemi efektami, dążył do pogłębienia gry aktorskiej, do szukania w roli poważniejszych akcentów ludzkich, nie zaś tylko pretekstów do obudzenia hałaśliwej wesołości.

Młody podówczas artysta powrócił do Lwowa, nawiązał jednak stosunki z Warszawą, które miały stać się coraz ściślejsze i mocniejsze. W dwa lata później znów przybył na szereg występów, wreszcie w 1890 został zaangażowany na stałe.

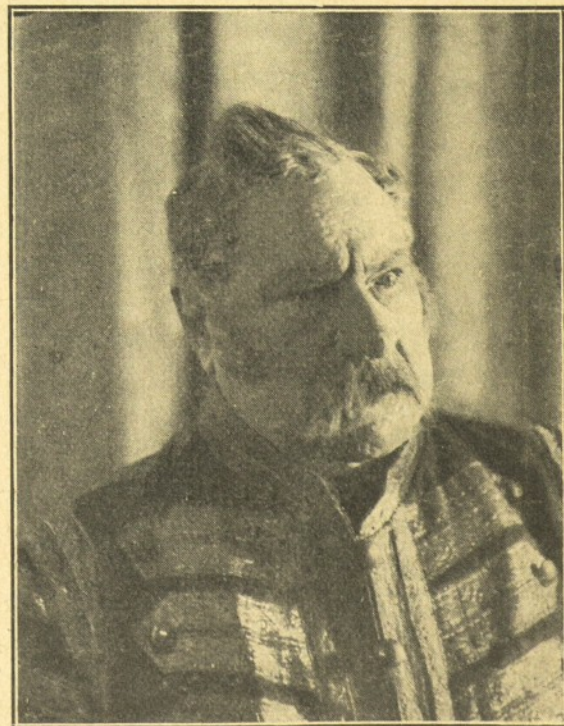
Wówczas dopiero odczuł i zrozumiał upodobania i charakter publiczności warszawskiej, kształtowane na wzorach francuskich. Gra jego nabierała coraz większej swobody, rozmachu, pewności siebie.

Parę lat minęło, i stał się jednym z głównych filarów pierwszej sceny, obok Leszczyńskiego, Rapackiego, Edwarda Wolskiego. . Frenkiel stał się następcą Żółkowskiego, nie rezygnując wszakże zgoła z własnej indywidualności. Jeśli bowiem Żółkowski był bogatszy w szczegółach charakterystycznych i bezpośredniości humoru,—Frenkiel wnosił inne wartości: delikatne, głębsze uczucie, które umiał cudownie łączyć z komizmem. W połączeniu tych dwóch czynników mieściła się tajemnica niedoścignionego talentu Frenkla. W swojej przydługiej wędrówce doczesnej spotykałem artystów, którzy umieli wyciskać łzy śmiechu lub wzruszenia. Ale artystę, który w tym stopniu potrafił równocześnie rozśmieszać i wzruszać, znam tylko jednego: Mieczysława Frenkla!

I jeszcze jeden rys znamienny: Frenkiel, jako rasowo polski artysta, czuł się zawsze najlepiej w rolach polskich, — albo w takich, które sercu polskiemu były bliskie.



Frenkiel w kąpieli.
rys. St. Lenca.



M. Frenkiel, jako Flambeau.

(Flambeau). To też najchętniej grywał w sztukach oryginalnych, i każdy komedjopisarz polski zawdzięcza mu niezapomniane kreacje. Ileż ja mu jestem winien wdzięczności!. Ileż arcydzieł aktorskich w moich utworach teatralnych stworzył, począwszy od pierwszej jednoaktówki („Piękna Ogrodniczka")—w „Wesołych duszach", w „Tęczy", w „Edukacji Bronki", w „Aktorkach", w „Przywódcy" (rola Brukwy była jedną z najlepszych w jego repertuarze), w „Rusałce", w „Djable i Karczmarce", w „Rozstojach", w „Głuszcu", w „Hammelbeinie"!.....

Drogi przyjacielu! Czyż podobna wyliczyć Twe wszystkie inne znakomite role? Trzebaby wymienić większość sztuk, które były grane w „Rozmaitościach" w ciągu ostatnich czterdziestu lat — boś grał bezustannie, nieomal co wieczór, odpoczywając tylko w lecie, dawniej



M. Frenkiel przed 15 laty

—w Krynicy, teraz, gdy korpulencja twa zaokrągliła się wdzięcznie, — częściej w Karlsbadzie. Ileż to z tych kreacji wymagałoby poważniejszych studjów, rozważań, by dla przyszłych pokoleń aktorskich zostały pouczające wskazówki! Miałeś talent, miłowałeś swą pracę i teatr nadewszystko, — więc musiałeś w tym teatrze zająć pierwsze stanowisko...

Jubileusz niezawsze bywa pogrzebem za życia. Frenkiel najlepszym tego dowodem. Idźcie na „Pana Damazego", zobaczycie, z jaką werwą, z jakim humorem gra ten „sędziwy" jubilat! Do kata! Iluż to młodych przy nim gaśnie! Iluż wśród nich jest kandydatów na nieboszczyków! We Frenklu pali się wciąż płomień talentu, jasny, gorący. Jeszcze obdarzy nas z pewnością nowemi świetnemi kreacjami.

Stefan Krzywoszewski

Szkoła wdzięku Pani Dulskiej

Co za ulga!

Tę ulgę zawdzięczamy Gabrjeli Zapolskiej. Pomściła nas. Rozpalonym pogrzebaczem wyciągnęła za kołtun szanowną panią Dulską i szmyrgnęła nią na scenę, aż się nam raźno zrobiło na duszy. Nareszcie, nareszcie wzięto ohydnego babsztyla pod pompę publicznej wzgardy. Oblano ją zimną wodą szyderczego śmiechu w wyczekiwanym długo odwecie za codzienne, nieustanne, uparte, wojownicze trywializowanie naszego życia. Masz, babo! masz, skrzętna pszczółko brudu domowego! bohaterko życia rodzinnego, pojętego jako własny śmietnik, jako własny smrodek! stonogo, władająca na kilku pokojach, ambitny robaku w barchanowej kiecce, chciwy, jak lichwiarz, pyskaty, jak straganiarka! paniusiu zadufała w swój rozum ministerjalny, niewybiegający poza horyzont zjełczałego podwórka! niewysłowiona przykrości naszych dni powszednich, nudo dni świątecznych, trucizno każdej pory! Dyrektor Szyfman zrobił nam tę satysfakcję, że dał ją na pośmiewisko w noc Sylwestrową, w noc porachunków z minionym rokiem. Niejeden utrudzony zięć, niejeden zmęczony mąż, jadowicie zapytany przez paniąDulskąteściowę, lub przez panią Dulskążonę: „gdzie spędzimy Sylwestra? zpewnością nie pomyślałeś o rozrywce dla mnie!" — odpowiedział uprzejmie:

— Ależ przeciwnie! Po tak mozolnych dwunastu miesiącach tego sakramenckiego tysiąc dziewięćset dwudziestego siódmego należy nam się wesołe powitanie dwudziesiego ósmego. Tak rzadko droga mamusia (do teściowej), kochana żonusia (do małżonki), bywa w teatrze, że kupiłem bilety na komedję do Teatru Polskiego.

I rozradowany zięć zaciera ręce z uciechy, a stary mąż, ofiara dyktatury dulskiej, mlaska językiem na smakowitą rozprawę wieczorową. Kochana teściowa i troskliwa małżonka nie będzie mogła puścić ozora w obroty, gdy pani Zapolska zacznie ją przy wszystkich chwalić, opisywać, demaskować, szturgać, a wreszcie siniaczyć! W pani Dulskiej, siedzącej na sali, będą się wnętrzności przewracały do góry nogami. Ogarnie ją oburzenie, bowiem ujrzy, jak bluźniercza ręka autorska szarga jej świętości, i ze zdumieniem spostrzeże, iż wszyscy są przeciw jej sklepikarskiej moralności. Nachyli się w stronę męża i syknie:

— Gdyby mi nie było żal pieniędzy wydanych na bilet, zarazbym wyszła z teatru! Bardzo głupia sztuka! Zażądaj, żeby ci zwrócili za bilety!

A mąż i zięć przeżywają rozkosz zemsty. Na scenie bierze baty na goło troskliwa teściowa i herod-żona, babsztyl, który zawsze ma w domu rację, który obgaduje sąsiadki z innych pięter i z całego miasta, potępia ministrów („czy kochana pani wie, że Skrzyński to żyd?"), szkaluje każdy rząd (masony!), każda kucharka złodziej, każda pokojówka flejtuch, każdy związek małżeński mezaljans, każda powieść, nie będąca książką do nabożeństwa, obraza boska, każda sztuka teatralna fe ! niemoralna! To ona, pani Dulska, modliła się za duszę mordercy prezydenta Narutowicza, ponieważ jest... antysemitką, *notabene* antysemitką, kupującą w sklepach żydowskich, gdzie lubi się hałaśliwie targować. To ona wykrzykiwała po tragicznej śmierci Niewiarowskiej, która się spaliła, że spotkała ją zasłużona kara, że dobrze jej tak, bo tak wielki dekolt, jak ten, który wprowadziła na sceny polskie znakomita artystka, jest grzechem śmiertelnym i można go niewinnie demonstrować tylko na świętych obrazach, gdy się jest Marją - Magdaleną, Sebastjanem przeszytym strzałami pogańskiemi,

lub pramatką Ewą, chrupiącą kosztele pod rajską jabłonią. To ona, pani Dulska, tyranizuje służbę, uważając pokojówkę za zwierzę robocze bez duszy, a w stróżu widzi najgorsze instynkty o złodziejskich ślepiach i o łapach rabusia. Nie wierzy w szlachetność, uprzejmość i bezinteresowność. Wierzy tylko w pieniądz. Jej uśmiech jest słodki, jak ocet, jej pocałunek jest judaszowy. Wszystko za srebrniki! Jej herbem jest hipokryzja, jej sztandarem kłamstwo, jej strojem oszukiwanie opinji. Boi się tylko jednej rzeczy: *skandalu.* Pozatem jest nieustraszona. Ale pani Zapolska wpakowała ją w szkandał, z którego, jak świat światem, ani pani Dulska, ani jej potomstwo, ani jej blizkie kuzynostwo (taka naprzykład z Fackiewiczów Kufkowa Tetmajera!) nigdy się nie otrząsną. Bo jeżeli pani Dulska życie posiada nieśmiertelne, to i szkandał, zgotowany jej przez panią Zapolską, również jest nieśmiertelny. Po tym szkandale pani Dulska przycicha, dlatego ten szkandał trzeba od czasu do czasu wznawiać. W interesie atmosfery rodzinnej. Żeby było przyjemniej w kręgu domowej lampy. Publiczne skompromitowanie pani Dulskiej leży w interesie całego społeczeństwa, zatruwanego przez jej wojującą, zuchwałą przyziemność. Bo aczkolwiek nie chce się wierzyć, aby pani Dulska była nieśmiertelna, to jednak nie ulega wątpliwości, że posiada długowieczność wrony.

Sarabandę dulszczyzny wybornie poprowadził na scenie Teatru Polskiego p. Leszczyński w tak wyśmienitem gronie artystów, jak p.p. Pancewiczowa, Słubicka, Jasińska, Malicka, Romanówna, Kuncewiczówna, Kawińska i Fritsche.

W tym samym czasie na scenie teatru Letniego wystawiono niezbyt mądry amerykański film mówiony p.p. Alice Duer Miller i Roberta Milton p. t. „Szkoła wdzięku".

Wacław Grubiński

Rozhulanki megalomańskie

Czyli wypadek pana Łopalewskiego

Co za nieostrożność!

P. Łopalewski, recenzent teatralny w Wilnie, postanowił być autorem dramatycznym.

Nic łatwiejszego! Oczywiście, dla krytyka.

Tedy p. Łopalewski chwycił za pióro i napisał „Betlejem Ostrobramskie". A napisawszy, wystawił w Reducie. A wystawiwszy... Powiedzmy krótko: kompromitacja!

GOŚCINNE WYSTĘPY ZNAKOMITEJ CZESKIEJ ARTYSTKI DRAMATYCZNEJ W TEATRZE POLSKIM



Marja Huebnerowu, artystka teatru Narodowego w Pradze Czeskiej, wyróżniona za zasługi Państwową nagrodą, grać będzie w roli tytułowej w komedji G. Zapolskiej „Moralność Pani Dulskiej". Krytyka czeska stawia ją na czoło artystek dramatycznych

◆◆◆◆◆◆◆◆◆◆◆◆◆◆◆◆◆◆◆◆◆◆◆◆◆◆◆◆◆◆◆◆◆◆◆

Niedobry przyszedł sezon na krytykę teatralną, albo raczej na pseudokrytykę. W Warszawie Kazimierz Wroczyński poprowadził na nią ofenzywę zwycięską w „Kurjerze Czerwonym", w Wilnie srogi a zadufały w sobie krytyk sam położył głowę pod Ewangelję.

Że też mu się chciało!

Roztrącał twórczość polską i obcą, wypisując walecznie nonsens po nonsensie, frazesując górnie, melancholizując chmurnie, podziwiając dostojnie, karcąc wyniośle, rozdając psztyczki, kuksańce, klepnięcia, kopnięcia, wzruszenia ramion, przymrużenia powiek, a oto sam klapnął ze swojej pustej wyniosłości na obydwie łopatki, jak długi, leży rozciągnięty po swojej premjerze i wierzga przeciw krytyce, która uczy go teraz moresu. Wierzga przeciw krytyce prawdziwej, rzetelnej, doświadczonej, przenikliwej, przeciw krytyce podpisanej nazwiskiem tak poważnem, jak nazwisko Czesława Jankowskiego.

A Wilno się śmieje.

Bo też widok to jedyny! Rozgrymaszony pseudo-krytyk, któremu, o ile się nie mylimy, żaden żyjący autor polski, po za Wincentym Rapackim synem, nie przypadł do smaku; moralizator, którego do głębi oburzała „nieetyczna" twórczość komedjopisarska... de Flersa; p. Łopalewski w roli Lessinga najfatalniej zawiódł! Puszył się, pouczał, szydził, a gdy sam wystąpił ze swoim „Natanem mędrcem", ze swoim „Betleem", — klapa. Sprawozdawca „Słowa" wileńskiego mówi o tych „betlejkach", że są „zimne, martwe, ponure, nie mają nic ale to nic z nastrojów bożenarodzeniowych, tych naiwnych, wesołych i szczerze pogodnych. Jest w nich żółć i jad, przebijający wciąż pod powłoką przypominania, że to przecie święta przebaczenia i miłości. Są przytem, co najgorsza, sztuczne". A dalej powiada: „Dlaczego Jasełka Rydla, nie mające nic wspólnego z Wilnem, pociągały tu tłumy? Bo była w nich dusza, krew i ciało, tętniło coś żywego, nie te papierowe, och, jakże przy biurku i elektryczności urodzone słowa, słowa, słowa!"

Gryzienie pióra w tylni koniec i pocenie się przy osramówce, oczywiście, nie wystarcza do stworzenia sztuki. Dlatego chętnie idziemy z Rydlem na słońce poezji, a z panem Łopalewskim nie. Już wolimy, żeby p. Łopalewski wrócił do swoich „krytyk". Bo co to komu szkodzi, że p. Łopalewski „krytykuje"? On się tem bawi i my się tem bawimy. A „Jasełka", pisane żółcią i jadem — nie, to nie wypada.

w. gr.

Złośliwa gra

Co pewien czas pewne dzienniki podejmują akcję przeciw zarządowi miasta o wysokość deficytu w teatrach. Jakiż jest najskuteczniejszy sposób zmniejszenia deficytów? Trzebaby podnieść dochodowość teatrów. Daloby się zaś to osiągnąć tylko: przez redukcję personelu i przez przystosowanie repertuaru do smaku dzisiejszej publiczności, t. j. przez obniżenie poziomu tego repertuaru. Niech jednak Dyrekcja Teatrów Miejskich sprobuje usunąć którego z artystów, zredukować jakąkolwiek pensję, odmówić choćby wypłaty gratyfikacji noworocznej! Wnet te same dzienniki w krzyk: — Nieludzkość! Skąpstwo. Niech dyrekcjo sprobuje naginać repertuar do dochodowości, z pominięciem wielkiej poezji, która (jak „Edyp" lub „Król Agis") naraża teatr na straty!... Wnet krzyk: — Któż będzie służył literaturze, jeśli nie teatry subwencjonowane. Do kata! Czy to nie jest przekornie złośliwa zabawa?

Z MUZYKI

W ostatnim numerze paryskiej „La Revue Musicale" znajdujemy obszerne sprawozdanie o działalności kompozytorskiej bawiącego stale za Oceanem Tadeusza Jareckiego, nagrodzonego już przed 10 laty za swój kwartet na międzynarodowym konkursie w Nowym Jorku. Autorem artykułu jest Gustaw Gwozdecki, ten nasz niezwykły artysta, który jest również głębokiej wiedzy muzykiem.

Sprawy filmowe

POWSTANIE RADY DO SPRAW KULTURY FILMOWEJ

Staraniem Związku Polskich Zrzeszeń Teatrów Świetlnych utworzona została Rada do Spraw Kultury Filmowej. W skład Rady weszli p.p. Andrzej Strug, jako przewodniczący, Anatol Stern, jako sekretarz, oraz pp. Karol Irzykowski, Ryszard Ordyński, Tadeusz Pruszkowski, Wiktor Biegański, Czesław Ogończyk-Cieszkowski, prezes Polskiego Związku Przemysłowców Filmowych dyr. Henryk Finkelstein i prezes Związku Zrzeszeń Teatrów Świetlnych p. dyr. Stanisław Zagrodziński.

Głównym celem Rady jest podniesienie poziomu kultury filmowej w Polsce.

Prace Rady będą miały charakter ściśle zespołowy i do poszczególnych referentów będzie jedynie należało zgłaszanie się z inicjatywą. Rada zamierza zaprosić do współpracy jak największą ilość fachowców ze świata wiedzy, sztuki i prasy.

TEATR LETNI: „SZKOŁA WDZIĘKU“, KOMEDJA W 3-ch AKT. A. D. MILLERA i R. MILTONA



Akt II-gi. Elisa Howart (Marja Gorczyńska) propaguje strajk szkolny Fot. Jan Malarski

TEATR POLSKI: „MORALNOŚĆ PANI DULSKIEJ“, SZTUKA W 3-ch AKT. GABR. ZAPOLSKIEJ



Wykonawcy: p. Jerzy Leszczyński (Zbyszko), p. Frietsche (Dulski), p. Słubicka (Dulska), p. A. Jasińska (sąsiadka), p. Pancewiczowa (Hanka), Malicka i Romanówna Fot. St. Brzozowski

Z PAMIĘTNIKA KRAKOWIANINA

Środa.

— Jednak święta mają i swoje dobre strony. Już na miesiąc przedtem wszyscy, począwszy od krawca a skończywszy na kaflarzu, mówią, gdy się od nich zażąda jakiejkolwiek roboty: „Teraz niemożliwe, proszę pana; po świętach, po świętach". — Byłem niedawno w kinie, z jedną panią (chociaż w zasadzie unikam kobiet, są to bezsprzecznie największe roznosicielki bakcyli miłości). Piękna osoba, rozfilmowana do żywego „Don Juanem", którego właśnie wyświetlali, chciała mnie nagle pocałować, ja jednak przezornie odwróciłem głowę w stronę ekranu, mówiąc: „Teraz niemożliwe, proszę pani, po świętach". — Uspokoiła się odrazu ,a ja zyskałem na czasie. — Zaczynam rozumieć głęboki sens świąt. Zrozumiałem także, skąd pochodzi słowo „upominek", oczywiście od upominania się. Dzisiaj idąc przez ulicę Florjańską, tę krakowską rue de la Paix, usłyszałem, jak młoda kobieta (genre nijaki) mówiła do idącego z nią młodego człowieka: „Wujaszku! (tę młodą parę łączyły jakieś istotne związki krwi), jeśli chcesz mi dać na gwiazdkę ładny upominek, to kup mi dobrą imitację królików". — Ja nikogo o nic nie proszę, więc też nie dostaję upominków. — Bardzo miło wygląda rynek krakowski, obsadzony gęsto choinkami. Powiadają, że „natura ciągnie wilka do lasu"; człowieka też, najlepszy dowód, to ta ogromna ilość biednych, niewinnych drzewek, ściętych żądną zysku łapą ludzką. — Nie znam historji „drzewka" i skąd przyszedł ten zwyczaj; mam wrażenie, że to moze symbol dawnych dobrych czasów, do których podświadomie tęsknimy, kiedy ludzie chodzili po drzewach i rzucali stamtąd orzechy kokosowe na głowy przechodniów z gatunku tygrysów lub nosorożców.

Czwartek.

Po świętach stanie się znów aktualną mowa o pójściu do „baru". — Sprawa pójścia do baru przedstawia się następująco: — Jest fife wieczorny u pani X. X., goście przeciągają się do późnej pory (twarz pani domu także). Gwiazdy wschodzą, zachodzą, a goście siedzą; wtedy pani domu proponuje, żeby pójść całą bandą do baru. „Niech państwo idą zająć stolik, a my tam zaraz przyjdziemy", — dodaje i po wyjściu gości kładzie się spokojnie do łóżka. „Bar", jest to poprostu dancing w Esplanadzie. Dlaczego nosi on nazwę baru, tego nikt nie wie. Równie dobrze mógłby się nazywać „Barbakan", albo „Barak" (jeżeli już koniecznie musi się zaczynać od litery „B"). Bar w Esplanadzie nie posiada ani barmana ani profesjonalnych dziewczątek, siedzących na wysokich krzesełkach, jednem słowem, nic, co by przypominało tejże nazwy zagraniczne instytucje stołeczno-społeczne. Jedna rzecz tylko, która zbliża go poniekąd do nich, to panujące tamże wprost barokowe ceny. Djabłem - stróżem baru w Esplanadzie jest „Pan starszy", czyli P. Leon. Ach, któż z nas, krakowiacy, nie zna p. Leona? — P. Leon jest sprawiedliwy, dobrych, tych, którzy piją, wynagradza wolnym stolikiem, dobrotliwym uśmiechem, sekundą przyjacielskiej rozmowy, która wzbudza zazdrość w gościach nie pijących, a złych, tych, którzy objawiają nieszczery wstręt do alkoholu, karze milczącą pogardą, przykrą nad wyraz. Pogarda tego władcy Esplanady stanowczo deklasuje gościa. — Ukazanie się p. Leona z za kotary robi natychmiastowy ruch w barze; panowie, którzy dotychczas siedzieli znudzeni, gapiąc się z otwartemi ustami (od ziewania) na swoje sąsiadki, zaczynają zdradzać żywą tendencję w kierunku od stolika na środek sali. Strzelają dowcipy (zamiast korków od szampana), nawiązują się flirty, rozwiązują się języki, od stolika do stolika fruwają papierowe serpentyny, ktoś zanuca rzewnie „Du nur du sag mir" (dalszego ciągu słów tego modnego bluesa nie zna nikt z żyjących). Jakiś odważny staruszec, upity nastrojem i czarną kawą, ryczy w stronę muzyki: „A teraz jakiegoś porządnego Straussa", — a wszystko to dzieje się na to, by odwrócić od siebie uwagę groźnego Leonka i nie być zmuszonym zamówić flaszkę „Palugyay'a". Koło godziny trzeciej w nocy muzyka przenosi się naprzeciwko najbogatszego czyli najbardziej „pod gazem" stolika, i wtedy niestrudzeni zamiatacze posadzki, czyli charlestoniści, muszą wysłuchiwać z bólem albo „Donauwaltzer", „Wien Wien... ect". Albo „Trojka, trojka", „Chryzantemy", „Czarne Huzary" etc., zależnie od zaboru, pod jakim znajdowali się ongiś biesiadnicy.

Wtedy to gdzieniegdzie pada zakazane nieprzyzwoite słowo „Miraż". — „Chodźmy do Mirażu", proponuje paniom krakowski dżentelmen cicho i wstydliwie".— „Dobrze, odszeptują odważne damy, tylko niech pan, broń Boże, nie wygada się, żeśmy byli w tej szpelunce". Ponieważ człowiek nie jest nigdy pewien dnia i nocy, więc zdarzyło się i mnie pójść kiedyś wczesnym rankiem do tego zakazanego dancingu, gdzie niestety oprócz muzyki nie znalazłem nic zakazanego i szpelunkowego. Ci sami „cudzoziemcy", co w Esplanadzie, te same białe zjawy dymu z papierosów, te same łyse kolankowate czaszki, i te same damskie nogi po kolana. Boże! jak mi się te nogi sprzykrzyły—i co ludzie widzą w tem ładnego i podniecającego; daleko bardziej podniecającą a podobna, jeśli chodzi o formę, jest dla mnie butelka reńskiego wina.

Środa (po świętach).

Święta, dzięki Bogu, przeszły szczęśliwie, — wszystko dobrze poszło. Żyjemy. Zawsze się boję świąt Bożego Narodzenia. Czuję, że będą kiedyś opowiadać o mnie mamy i ciocie w ten sposób: „W wilję Wilji był jeszcze zupełnie zdrów i wesół, a potem już po pierwszej rybie zaczął być smutny i struty... Wprawdzie wszyscyśmy tę rybę jedli i nic się nikomu nie stało, ale on zawsze był inny od wszystkich... Ale nie trzeba go żałować, jemu Tam lepiej..." Dziwnie ponure nastroje budzi we mnie taka uroczystość familijna; mimowoli myśli się, że na przyszły rok może kogoś z blizkich zabraknąć, albo co gorsza, może ktoś nowy przybyć.... Na końcu stołu siedzi zwykle jakaś szara postać, której jedyną zaletą jest to, że jest „parzysta". — Po jadalni włóczą się drodzy (nigdy nie kochani) zmarli, a raczej ich wspomnienie. Stereo-stypowego nastroju wigilijnego nie rozpraszają nawet „podarki gwiazdkowe", leżące pod drzewkiem, podarki, które zaiste mogą zniecierpliwić najłagodniejszego człowieka. Oto dla Michałka gąbka, bo sobie sam nowej nie kupi. — Dla panien automatyczne szczoteczki do zębów. — Dla babci gilletka. A dzieci niech się podzielą „Panem Tadeuszem" z obrazkami Andriollego. Przez cały czas świąt człowiek chodzi głodny, ponieważ bułek niema, więc na śniadanie dostaje się kawałek placka z rodzynkami i do tego kawałek pasztetu, w pierwsze święto pojawia się w rodzinie indyk z kasztanami, witany przez wszystkich uprzejmym i polubownym uśmiechem, ale wiadomo, że taki indyk, choćby nie wiem jak długo myślał i kombinował, to jeszcze nie obdzieli sobą dostatecznie całej familji. Przez szereg następnych dni ukazuje się do obiadu, zamiast uczciwej zupy, piątą woda po indyku, pod pozorem różnych krupniczków i rosołków z dróbkami (czyli trupkami), a wieczorem jeszcze raz szczątki indyka na zimno i niedojedzone tyły świątecznego zajączka. Po obiedzie zwykle ciągną kluczem także zgłodniali znajomi, których się częstuje drzewkiem i plackiem z makiem. — Na przyszły rok zrobię tak, jak jedni moi chytrzy znajomi, pojadę na święta do Paryża, czyli pożegnam się ze wszystkimi i zamknę się z książkami w swoim pokoju na cały tydzień. Jest to świetny sposób wyjazdu za granicę bez paszportu i pieniędzy, który wszystkim krakowianinom gorąco polecam.

Magdalena Samozwaniec

Kraków

FELJETON WILEŃSKI

W starożytnych murach, w których ongi rezydowali braciszkowie z zakonu Bernardynów, mieści się dziś szkoła sztuk pięknych. Tam to właśnie udzielono gościny wileńskiemu Parnasowi.

Raz na tydzień zbierają się poeci wileńscy pod gotyckiemi sklepieniami, by móc razem odprawiać t. zw. „Środy Literackie".

Obsiadają wokół proste, z gruba ciosane stoły, a ze ścian patrzą na nich ascetyczne konterfekty i obrazy różnych Hugonów van red Gossów (XV w.), Berendów van Orley'ów (XVI w.), Gerhardów van der Meeren'ów — z których młodzi adepci sztuki uczą się owej doskonałości techniki malarstwa olejnego, do perfekcji doprowadzonej przez szkołę staro - flandryjską.

— — — — — — — —

„Środy Literackie" mają w Wilnie ustaloną opinję. O popularności ich świadczyć może coraz większa frekwencja zaproszonych gości. Zasługa to samych literatów, którzy potrafili stworzyć wieczory niewymuszone i atmosferę wielce pogodną. Zorganizował „Środy" wileński Związek zawodowy literatów, a należą doń tak zasłużeni pisarze, jak Marjan Zdziechowski (prezes), Stanisław Pigoń (v.-prezes), Czesław Jankowski, Helena Romer-Ochenkowska, Witold Hulewicz, Tadeusz Szeligowski i szereg innych.

Przewodniczy zazwyczaj J. M. Rektor St. Pigoń. Uderzeniem misternego gonga przywołuje zebranych do porządku i otwiera zebranie. Zaczem powstaje p. Witold Hulewicz, sekretarz „śród", i oznajmia porządek dzienny. Z kolei zabiera głos autor i odczytuje względnie wygłasza referat. Po odczycie następuje ogólna dyskusja.

Niektóre „Środy" są bardziej uroczyste. Zdarzają się wówczas, kiedy uczestniczą na nich tacy dostojni goście, jak np. Chesterton, czy Karol Szymanowski, czy Irena Dubiska. Wtedy wysokiej trzeba szukać protekcji, żeby móc dostać się na Parnas wileński i *ad oculos* oglądać zamorskie znakomitości...

— — — — — — — —

Powiadają ludzie źli i bojaźni bożej wyzbyci, że poeci wileńscy zjełczeli do cna, — że nic nie piszą, — że zastój literacki w Wilnie na całej linji....

Przyjdzie mi chyba zajrzeć do p. dyr. Hniedziewicza i obejrzeć półki księgar-

skie, żeby przekonać owych śledzienników czy ignorantów, że i w Wilnie mamy lwie pazury — co drapać potrafią. Piotr Hniedziewicz własnoręcznie ściąga z półek tomy i tomiki—rzuca na stół ogromną piramidę książek i chełpliwie powiada:

— Co — mało? Oto ostatnie książki wileńskich pisarzy.

Zaprawdę — jest co oglądać! Oto Felicji Kruszewskiej „Stąd - Dotąd", a i ostatnio wydany „Błękitny ogród". Oto Wandy Borudzkiej „Szafirowa Próżnia". Oto Józef Batorowicz popełnił „Liljowe śnienia", a Edward Walewski — „Wiwlasy", Seweryn Odyniec — „Golfa Błękitnego", a Witold Hulewicz po „Biedaczynie Bożym" puścił ostatnio w świat „Liryki Instrumentalne" i szykuje do druku dalsze tłumaczenia Pawła Valéry'ego i Rainera Maria Rilke'go.

Czesław Jankowski już w ubiegłym roku wydał swe „Wrażenia rumuńskie" i wygarnął sporą przygarść rzewnych wspomnień z „Czeczotkowej szkatułki"....

Nie wypuszczają piór z ręki i pani Wanda Niedziałkowska - Dobaczewska, i pani Helena Romer, i publicysta a uczony tej miary ,co prof. Marjan Zdziechowski, i znawca głęboki literatury polskiej prof. St. Cywiński, i mickiewiczolog znakomity, Rektor St. Pigoń, a dalej — prof. Stefan Srebrny, prof. Kaz. Kolbuszewski, Ewelina Wróblewska, Anna Słończyńska, Stanisław Czosnowski, Stanisław Mackiewicz, Ludwik Czarkowski, Ludwik Stolarzewicz....

Miejsca by nie stało, gdyby wymienić wszystkich!

Są też w Wilnie wydawnictwa specjalne. Tak np. nakładem Piotra Hniedziewicza wyszła „Bibljografja pism Mickiewicza", dzieło jedyne w swoim rodzaju. Znowu nakładem księgarni Stow. Nauczycielstwa Polskiego ukazuje się „Zarys dziejów ludwisarstwa w b. W. Ks. Litewskiem" i „Rok 1863", zawierający archiwalne źródła wyroków śmierci. Nieporównany materjał to dla studjów nad martyrologją polską....

— — — — — — — — —

— I niechże tu kto powie, że piśmiennictwo w Wilnie zamarło!

E. M. Schummer

Wilno

Matematyka w cyrku

Nauka, ścisłe obliczenie, zawsze były podstawą większości popisów cyrkowych. Nawet głupi August, „ten, którego biją po twarzy", jeżeli nie klaśnie w ręce w odpowiedniej chwili, dokładnie co do ćwierci sekundy, zepsuje efekt otrzymanego policzka. A *salto mortale!* Ten koziołek, aby się udał, musi być wykonany z precyzyjnością matematyczną. A chodzenie po linie! Im swobodniej porusza się linoskok na rozciągniętej lince, tem znakomiciej, tem ściślej działa według prawa równowagi. Najmniejsze niedostosowanie się do tego prawa naraża linoskoka na upadek. To samo przy popisach na trapezach, etc.

Obecnie w cyrku Konrado demonstrowany jest niezwykle efektowny wyścig samochodów. Jeden wóz przelatuje w powietrzu nad drugim wozem i przychodzi do mety pierwszy. Wygięcie toru, jego pochyłość, dystans dzielący jeden wóz od drugiego, a więc i rozpęd rozmaity obydwóch wozów, ważących jednakowo, mała, niewidoczna różnica wysokości szyn, po których biegną te wozy, wszystko to jest obliczone skrupulatnie, tak że wyskoczenie wozów z jednego toru na drugi musi być właśnie takie a nie inne, drugi wóz musi wyskoczyć nad pierwszy, przelecieć nad nim i spaść przed pierwszy wóz, który się porusza według innych danych rozpędowych. Oczywiście, szoferzy tych bezmotorowych automobilów muszą być ludźmi bardzo odważnymi i umiejącymi nie tracić przytomności podczas tej dziwacznej jazdy. Muszą się umieć trzymać kierownika w chwili wstrząśnienia : muszą umieć w porę użyć, jak się zdaje, hamulca, gdy już przelecieli nad przerwą pomostu wyścigowego. Ale głównym bohaterem tego denerwującego numeru jest inżynier-wynalazca, p. Emil Noiset, który skonstruował pomosty i samochody. On jest autorem tej sztuki, szoferzy zaś są tutaj tylko dobrymi aktorami.

w. p. g.

RIWIERA FRANCUSKA POD ŚNIEGIEM



Piękne palmy w Cannes pod śniegiem: mróz dochodził do 5 stopni

Z LITERATURY ANGIELSKIEJ

„BEYOND" by JOHN GALSWORTHY. Każda nowa książka Johna Galsworthy jest, dla jego licznej, po całym świecie rozsianej rzeszy czytelników, prawdziwą biesiadą. Między ostatniemi wydawnictwami Tauchnitza ukazała się w poprawionem i przez autora zupełnie na nowo opracowanem wydaniu, powieść „Beyond", pisana podczas wojny. Trudno nam więc osądzić, czy książka ta, pisarza uważanego za największego współczesnego epika, jest wyższym szczeblem w jego rozwoju, czy też przeciwnie, od czasu jej napisania osłabł talent Galsworthy'ego. Bo obie ostatnie powieści z cyklu Forsyte Saga „The White Monkey, i The Silver spoon" nie sięgają wyżyn, na jakich stoi bezsprzecznie „Beyond".

Dorzucając do swojej galerji nieśmiertelnych typów dwa wybitne charaktery, autor mniej zajmuje się tu oddaniem tła, na którem rozgrywa się powieść. Maluje je wielkiemi pociągnięciami pędzla, by, w środowisku zlekka naszkicowanych postaci, dać dwa mistrzowskie portrety, wykonane z drobiazgowością miniaturzysty. Są to Major Winton i jego córka Ghita czyli Gyp. Długo po przeczytaniu książki pozostają nam żywo w pamięci, jak obraz, który między zbiorami jakiemiś największe na nas uczynił wrażenie.

„Beyond" słowo nieprzetłumaczalne, oznacza: ponad, poza, nadmiar, przekroczenie granicy, możliwości. Tu mamy nadmiar miłości serc, które kochają raz tylko w życiu. Ponad siły, ponad możność, poza grób.

Tak kochał Winton, choć szczęście trwało tylko rok i nic mu po stosunku wiarołomnym nie pozostało, prócz pamięci zmarłej i dziecka, przyczyny jej śmierci. Tragedja miłości, której dalszym ciągiem są tragiczne losy Gyp. Odziedziczyła ona po matce, piękność, wdzięk i dumę, po ojcu tradycje arystokratyczne, czysty charakter i dobroć, a po obojgu serce, które kocha tylko raz, ale bez pamięci. Gyp, znając tragedję rodziców, błaga los, by oszczędził jej wielkiego kochania, ale niestety przeznaczenie ją nie minie. Po przez nieszczęśliwe małżeństwo z szwedzkim skrzypkiem Fiorsenem, zdąża Ghita Winton ku wielkiej namiętności swego życia, która każe jej zapomnieć o ojcu, o dziecku, o formach, tradycjach, pozorach. Kocha bezgranicznie, ślepo i żywiołowo, a myśl, że dla jej kochanka istnieje świat poza ich miłością, zatruwa jej życie, tak jak wślizgująca się z czasem zazdrość mąci idealny dotychczas stosunek. Kto wie, jaki obrót wziąłby cała sprawa, gdyby Bryan Summerhay nie padł ofiarą nieszczęśliwego wypadku.

Sama osnowa książki, historja, jakich wiele, a czytelnika fascynuje przedewszystkiem styl, psychologja, a pozatem prześliczny stosunek ojca do córki. Ten motyw miłości ojcowskiej powtarza się już i w innych powieściach Galsworthy'ego; taki egoista, jak Soames Forsyte, jest idealnym ojcem i swoją bezkrytyczną miłością wobec Fleur okupuje w oczach naszych inne wady charakteru. Winton przelewa na córkę całą miłość, jaką miał dla jej matki, a Gyp godną jest miłości, poświęcenia, nawet uwielbienia.

Zadługo by się trzeba rozpisywać, chcąc czytelnika zapoznać z wszelkiemi zaletami tej książki. Kto ją weźmie do ręki, przeczyta ją jednym tchem, by powrócić natychmiast do pierwszych kartek i jak smakosz rozkoszować się nią po raz wtóry. Jedno tylko mielibyśmy panu Galsworthy do zarzucenia. Dlaczego czarny charakter książki, typ najwyraźniej międzynarodowy, hrabia Rożek musi być Polakiem. Wszak równie dobrze mógł być Serbem, Rumunem lub cudzoziemcem nieokreślonej narodowości. Od czasu „l'Homme qui assassina" Farrera, za często powtarzają się w powieściach zagranicy te postacie, które odnaleźć można w każdym narodzie, a które z polskością nie mają nic wspólnego.

„THE JURY by EDEN PHILLPOTTS. „Jury", powieść znanego powieściopisarza Eden Phillpotts, którego sztuka „The farmer's Wife", grana jest już rok trzeci z równem powodzeniem w Londynie, nie odgrywa się tym razem w ukochanem Devonshire poety. Porzuciwszy wiejskie otoczenie i typy, Phillpotts podjął ponury, a interesujący temat sądu przysięgłych w chwili narad nad wyrokiem śmierci. Cała powieść rozgrywa się w czterech godzinach, w czterech ścianach izby, w której pod kluczem 12 wybrańców ludu decyduje o losie Lady Heron, oskarżonej o mężobójstwo. Książka, interesująca ze względu na skomplikowaną i przestarzałą procedurę sądową angielską, bez komentarzy, bez ironji daje nam wglądnąć w charaktery tych dwunastu, z których prawie każdy własne interesa stawia wyżej od sprawy, o której ma zadecydować jego sumienie. Koniecznie jednogłośny w Anglji werdykt „winna" zapada w pokoju przysięgłych w chwili, gdy z zewnątrz nadchodzi wieść o znalezieniu prawdziwego mordercy. „Jury", potępienie sądu przysięgłych, takiego, jakim jest dziś w Anglji, czyta się jak sprawozdanie z sali sądowej, jakiegoś jasnowidzącego sprawozdawcy, któremu danem było wejrzeć, nietylko do pokoju narad, ale do serc, dusz i umysłów przysięgłych.

THE CASE - BOOK OF SHERLOCK HOLMES jest, jak powiada w przedmowie Conan Doyle, ostatniem wystąpieniem tego sławnego detektywa. Szkoda! bo pomimo wszystkich nowoczesnych i wszelkiemi wynalazkami ostatniej doby posługujących się zbrodniarzy i ich tropicieli, od których roją się różne powieści, Sherlock Holmes z nieodstępnym D-rem Watsonem miłymi nam byli w młodości i dziś jeszcze mile wypełniają czas odpoczynku i rozrywki.

Najciekawszą w ostatnim zbiorze jest historja, całkiem zresztą modnego pokroju, Tajemnicą, odkrytą przez Holmes'a, tajemnicą uczonego profesora, który nagle okazuje niezwykłą złośliwość charakteru, nocami drapie sie po drzewach i niepokoi swoje otoczenie, są... odmładzające gruczoły, pochodzące z złośliwego lemura. Ciekawą i intrygującą jest historja młodego nauczyciela, dziwnie pokaleczonego przez, jak się pokazuje później, nie rywala, ale przez kleszcze dziwnego potwora morskiego. Mamy w tej książce echa sławnej niegdyś w Londynie sprawy Crippena i kilka innych sensacyjnych wypadków kryminalnych. Zwolennicy Sherlocka Holmesa'a i jego praktyk znajdą w The Case - Book of Sherlock Holmes to, czego zawsze w tego rodzaju książkach Conan Doyle szukali.

S. G.

ŻYWY BUDDHA W REINKARNACJI



Mały chłopiec imieniem Skushot, którego kapłani lamaiccy uważają za reinkarnację Buddhy. Nosi na głowie specjalny kapelusz i żółtą sukienkę. Cześć oddają mu w Tybecie i Mongolji, jak bóstwu. Skushot z prawej strony ma nauczyciela, ubranego w purpurowy płaszcz, z lewej zwykłego kapłana

„Jak u Rojów Nowy Rok witano"

Czyli Narciarsko-Góralski Sylwester

Noc mroźna, wyiskrzona. Księżyc rogaty płynie nad Tatrami.

Hej, zjeżdżają się „u Rojów" narciane „pany" i górale!

Szał sylwestrowy ogarnia o tej porze cały świat! Idzie przez lądy, miasta, wsie, góry i doliny powiew dyonizyjskiego wesela!

Zjeżdżają ludzie na Sylwestra do Zakopanego. Pozamawiane stoliki w restauracjach telefonicznie (!) z Krakowa i Bóg wie skąd. Suknie balowe, stroje wieczorowe, kakofonja jazz-bandów, przegłupich „pieśni" o Morycu, szablon miejskiego Sylwestra na Krupówkach.

Ale u Rojów „noinaksy" Sylwester. Ciśnie się do małej izbecki tłum serdecznych zakopianów, górali, z którymi zżył się człowiek od lat, narciarzy przysięgłych, których uroki śnieżnych przestrzeni przykuły nazawsze, na każdą zimę do tego górnego i chmurnego Podhala, skutego lodem, przywalonego śniegami.

Hej, śmignęli do Rojów z Hali Gąsienicowej na nartkach. Księżyc im przyświecał przy tym pościgu za własnemi cieniami, wabiły zdaleka „ozwodne" i skoczne tony muzyki góralskiej.

Ktoby się po nich tego spodziewał. Tu urbanistyczne, ultra-modernistyczne koncepcje w głowie, a tu mała izbecka góralska „pełna" prymitywnych melodji uwodzi ich, jak najfantastyczniejszy egzotyzm.

Nie zginął jeszcze świat dzikiej, górskiej „dyonizjady"! Jeszcze go przeżywamy. Kto wie, czy nie ostatnie pokolenie dziwnych ludzi prymitywu, rozpiętego na olbrzymich, koszmarnych krosnach współczesności. Będą o nas kiedyś gadki opowiadać, jak to my „jyzdzowali" na nartach, śpiewowali na góralskie nuty; doszukiwali się w sobie, i w tych chwilach tu przeżywanych „cegosi inoksego", czego nie znajdzie się w ogólnoświatowej powtarzalności zjawisk i zmechanizowanego wyrazu.

Gra muzyka! Dwoje gęśli i basy. Na przyjętą dzisiaj powitalną nutę: „Hej madziar pije, hej madziar płaci"! Gra primę młody Jasiek. Tak jak zasłyszał u Bartusia Obrodety. Uchowały się jeszcze stare nuty bartusiowe w młodej piersi! Nie zaginą, dopóki my ich się będziemy „napierali".

Krąży kielusecek jeden, po gazdowsku. Gospodarz zaczyna do pięknej pani w narciarskich porteckach, warszawianki, która poznawszy wszystkie uroki stołecznych karnawałów, tutaj się niespodziewanie znalazła, wśród tej dzikiej a rasowej wielkopańskości góralskiej. Pani pije do potężnego, jak turnia, pryskającego iskrami temperamentu czarnego Wejtka, który śpiewa jej do ucha:

„Gorzołeczka nie miód, ino osłodzona.

Hej nuta nie zalna, ino ozwiedziona"!

Poszedł kielusecek dokoła, wokół izby, jako się goście rozsiedli popod ściany.

Jęczą gęśle piskliwie. Zaśpiewał sobie do muzyki Jasiek Tomków i inną nutę zamawia, Wierhową:

„Ryktuj wodke zydzie,
Bo już Tomkoś idzie.
Ryktuj z całom beckom,
Idzie z kochoneckom!"

I zagrała mu muzyka. „Ozwodna" to nuta, góry w niej się przezierają, jak w zwierciadle, gwarzy sobie w niej dzika przestrzeń podniebna, rozpięta na turniach skalistych, ukołysana ciepłem dolin, szmerem kosówek i szelestem stawów.

Tańczy Tomkoś na tę nutę „luptowskiego". Godny to taniec, powolny, kołyśliwy. W takiem poważnem tempie tańczą sobie bacowie luptowscy, których już nie wielu „ostało" po tamtej stronie Tatr.

Dziewcyna, jako dziewcyna. Drobi narkami pomalućku, a tylko ku jego zwrotom i skrętom się stosuje.

A teraz do innych słów sobie zatańczą:

Powiadają na mnie, ze jo zbój,
ze jo zbój.
Hej wtory listek spodnie, to je
mój, to je mój.

Kto wypowie cały czar, sens, istotę tej piosenki!?

Hej wtory listek spodnie, to je
mój, to je mój!

Płynie ci przez głowę, przez serce, człowieku-kamertonie, tajemnicza barwa nastroju ukrytego w tych słowach. A jeszcze gdy muzyka podchwyci melodję, poddaną wysoko, przenikliwie, przez Tomkosia, ze ściśniętego gardła, jakby go jakiś ból przejmujący dławił, tęsknota za czemś nieokreślonem, niewypowiedzianem.

Mają ten smętek wszystkie wirkowe nuty. Dlatego lubił je grywać czasami nad ranem stary Bartuś. Gdy już się ludzie wyszumieli, wtedy im przypominał, co się w nich dzieje, gdy przejdzie dziki szał zabawy.

A po kątach gwarzą sobie chłopcy z paniami i panami. Jeszcze się nigdy nie nudzili, gdy Wojtek Wowrytko zabrał się śnimi do urady. Bo to ludzie obyci we świecie, chociaż portki góralskie noszą.

Gdy po kieluseckach wesołość się rozpiera w człowieku, będziesz pękać ze śmiechu „panie z dolin", kiedy się wdasz w dyskurs o tem i o owem z podochoconym Jasiem, czy Wojtusiem. Widzisz, już słuchasz z zajęciem, jak to wizyty składali po miastach znajomym gościom, co u nich w sezonie mieszkiwali i w góry z niemi chodzili, jak to w Paryżu było na wystawie, jak po tygodniu sami sobie „metrami" jeździli, gdzie chcieli i zwiedzali wszystkie poważne i wesołe osobliwości stolicy świata.

Ale dyskurs, dyskursem, a tu Sylwester wre, kipi i ponosi.

Szaleje na skrzydłach melodji i słów śpiewanek tysiącznych. I nagle cała izba, wszystkie „stany" i „sfery", głoszą się ze swoim humorem:

Napijmy się wódki, bo to cas jus
krótki,
Ej, bo za śtyry lata będzie koniec
świata!

Teraz Kuba się kłania muzyce, zamiata kapeluszem podłogę i trzasnąwszy dłonią w dyle, że aż izba zadrżała, swoją nutę zamawia:

Zagraj mi muzycku, jako mi mos
zagrać,
A po mojej śmierci mozes sycko
zabrać!

Idzie drobny, a po nim krzesany.

Krzesany to wir, war dziki, błyskawiczny takt, furja! Podwójne, poczwórne tempo . Chodzą wszystkim oczy za tym kłębem nieuchwytnych ruchów! Hej ze ino po dwa razy, hej ze ino śtyry razy.

Drży izba, chwieje się, skrzypi, drżymy wszyscy na krzesłach. Coraz szybciej tnie prymista, coraz szybsze ruchy, szyby pękną, wyskoczą z ram, rozlecą się ściany, ogarnie nas przestrzeń, przestrzeń wirkowa, wirująca, przestrzeń nieskończona. Taniec na czterech metrach kwadratowych nastawił nasze ‚zwrotnice" na nieskończoność, słyszycie, na nieskończoność!!

Urwała orkiestra. Cisza. Dwunasta! Godzina duchów, minął rok stary, nic się nie stało, a tak wiele

się jednak zmieniło. Przelatuje po twarzach powiew nieuchwytny, znak z oddali, znak niewidoczny, symbol czasu, tajemnicy bytu, Przeznaczenia, sił ciemnych i mocy niebiańskich, potęgi i marności człowieka, hej, halny wiew „metafizyczny".

Dźwiga się z krzesła Jan Roj, co to jeszcze z Chałubińskim po górach „chodzował".

Podnosi w górę kieliszek i mocnym głosem oznajmia o tej dziwnej chwili żegnania się starego roku z nowym, którą przeżył już 74 razy:

„Na scęście, na zdrowie.
Na ten nowy rok.
Coby wam nie wypad z pieca bok
A z komina ruła.
Coby dziewcyna była siumna.
Zeby sie wam na ten nowy rok
darzyło.
Syćko dobrze wodziło.
Coby było w kumorze, w stodole,
w oborze
W kazdym kątku po dziesiątku
Na pościeli troje!

Taki był Sylwester u Rojów.

Zakopane *Z. H. Rytard*

Podróże i przez podróże do beletrystyki

Poznawanie nowych środowisk ludzkich, ciekawość do nowych mórz i lądów, nienasyconość piękna przyrody i wogóle otaczającego świata — oto namiętności budzące zawsze zainteresowanie. Literatura podróżnicza dzięki tym właściwościom jest tak poszukiwana. Każda książka tego rodzaju może liczyć na poczytność. Przed wojną niewielu mieliśmy autorów oryginalnych, pracujących na polu podróżnictwa. Teraz posiadamy już kilku zawodowych pisarzy, uprawiających ten kierunek piśmiennictwa. Książki p. F. A. Ossendowskiego z Afryki są „zawodową", planowaną, obmyśloną literaturą. I p. F. Goetel wstąpił na tę drogę. Jego podróże do Egiptu i do Islandji powstały z planowanych chęci do przygód, któreby później znalazły się w rękach czytającej naszej publiczności.

Mamy jednak jeszcze jednego podróżnika, cieszącego się sympatją szerokich kół czytelniczych. Któż to jest? P. M. B. Lepecki, autor kilku książek podróżniczych z Afryki i Ameryki Południowej. Wydał on obecnie pokaźny a ilustrowany obficie tom wrażeń podróżniczych p. t. „W sercu czerwonego lądu". Są to przygody z podróży po Paragwaju, Boliwji i Brazylji.

P. M. B. Lepecki opowieść swoją snuje prosto a zajmująco, bez wdawania się w szczegóły specjalne. Co widzi — to pisze. Daje to świeżość ekspresji i działa suggestywnie na czytelnika. Autor nie udaje przytem „myśliwego nad myśliwymi", co to jednym strzałem kładzie trzech tygrysów i krokodyla, lecz zwierza się i ze swoich niepowodzeń strzeleckich. Czyni to narrację p. Lepeckiego sympatyczną. Gdy z braku funduszów śpi pod wagonem miast w hotelu i wtedy wierzymy mu, bo wiemy, że opowiada to dla uwypuklenia warunków, w jakich się odbywają jego podróże . Ciekawość gna go po ostępach i rozłogach, po stepach i wodach.

Z brawurą młodości jedzie na połów wrażeń, nie bacząc na ubóstwo środków. Książki jego są więc dokumentami dzielności. Przynoszą informacje o polakach spotykanych wśród prerji lub w miastach Ameryki południowej. Autor wykazuje przez to swój zmysł społeczny .

Bardzo ciekawe są stronice jego wrażeń z obserwacji „Z Kacykatu Maskoja Wielkiego". Podróże p. Lepeckiego przeważnie powodowane były zamiłowaniem do przygód, do włóczęgostwa. Przy tej sposobności autor oddawał często usługi sprawie naszej zamorskiej emigracji. Było to jednak jakgdyby mimochodem. Temperament bujny pchał go po wrażenia, a sprawy pożyteczne czyniły się po drodze wskutek uspołecznienia, wskutek wrażliwości na cudzą niedolę.

Książka „W sercu czerwonego lądu" napewno zdobędzie sobie licznych przyjaciół.

Innego rodzaju podróżnictwo uprawia p. Jan Parandowski. Znamy jego zamiłowania i wiedzę humanistyczną. Jest on zapan-brat z wszystkimi bohaterami Homera, a Olimp nie należy do wyżyn, które sprawiają mu zawrót w głowie. Nic dziwnego więc, że pojechał on do współczesnej Grecji. Po drogach i drożynach, na placach i w cieniu oliwek czy platanów szukał cieniów starej, bohaterskiej Hellady.

Wrażenia jego przeplatają się wiedzą starej Grecji. Z tej racji książka ta ma również wartość dla szkół średnich przy czytaniu utworów literatury helleńskiej. Znajdujemy w niej dwa równie interesujące rozdziały: „Wyspa słońca" i „Dom nad winnicą". Pierwszy dotyczy Sycylji, drugi Capri.

Z wrażeń podróżniczych powstały też dwie świeżo wydane powieści: p. Wandy Melcer - Rutkowskiej „Narzeczona z Angory" i p. Janusza Makarczyka „Wyzwolony Harem". Jak widać z tytułów, obie te powieści pokazują nam Turcję współczesną. „Narzeczona z Angory" posługuje się polakami, jako osobistościami głównemi w narracji. W wyzwolonym haremie działa towarzystwo międzynarodowe. Główne role prowadzą turczynka i młody sympatyczny polak. Mamy jednak i amerykanina, więc część narracji przeniesie się na drugą półkulę. Wogóle w powieści tej dużo się podróżuje. Jest ona jakgdyby notatnikiem wrażeń podróżniczych.

Autor przez podróżnictwo dotarł do beletrystyki. Jest to zjawisko bardzo symptomatyczne i dla przyszłości naszego piśmiennictwa pożądane. Podróże dają olbrzymie pole do pracy literackiej. Wzbogaca się przez nie nasze piśmiennictwo. *F.*

„KARNAWAŁ"

Rok rocznie przepowiada się koniec charlestona, agonję black-bottom i gwałtowną śmierć tanga, ale te przepowiednie nie sprawdzają się. Powstaje coraz większa ilość popołudniowych dancingów i nocnych lokali. Więc i piękna pani musi mieć coraz to nowe suknie, aby coraz piękniej wyglądać.

Jakże to dzieje się w Paryżu, na Rivierze?

O piątej godzinie do eleganckiego dancingu wchodzi pani, w czarnym płaszczu, przybranym bogato przy kołnierzu, rękawach i na dole jasnym lisem o długim połyskliwym włosie.

Pani siada, zdejmuje płaszcz; widać popołudniową suknię, ukazującą elegancję i przepych materjałów, do jakich nie jesteśmy przyzwyczajeni: czarny crépe-satin; velour miękki i błyszczący, jak metal; wytłaczana w deseń lama, na której lśni i połyskuje biżuterja z kolorowych kamieni i brylantów. Suknie te odznaczają się zupełnym brakiem symetrji. Spódnice, chociaż proste, rozszerzone są przez nierówno, przeważnie z jednej strony umieszczone fałdy lub też klosze. Rękawy, oczywiście tylko długie, wykazują wielką pomysłowość paryskich krawców Gdy są wąskie, wykończa się je tak, jak suknie, różnemi pliskami i naszyciami; gdy są szerokie, bywają od łokcia przecięte i zebrane w wąziutki mankiecik.

Na rączkach pani ma długie rękawiczki, jakie nosili dawni muszkieterzy, a których zbyt obszerne mankiety marszczą się nad ręką. Rękawiczki te są z czarnego zamszu lub skórki dobranej pod kolor pończoszek.

A na nóżkach nosi pani cienkie jedwabne pończoszki, albo różowawe, albo szare z odcieniem blado lila i proste wygięte pantofelki z czarnej skórki, z lakieru, jedwabiu, zamszu czy też węża.



Na stoliku pani położyła czarną torebkę z zamszu lub błyszczącej skórki, zamkniętą na ściągacz, albo z mory, aksamitu czy też z lamy, z jakiej ma zrobioną suknię, oprawną w antyczną, lub też imitującą starą, srebrną oprawę.

A wieczorem?

Suknia jak ajlżejsza, najpowiewniejsza. Koronka, georgette'a, tiul i tafta: oto materjały, z jakich się tworzy balowe tualety.

Czyż może być coś ładniejszego, jak koronkowa suknia, modna już od kilku sezonów? Ale chociaż materjał pozostał ten sam, to rodzaj się całkowicie zmienił: cienka koronka o stylowym deseniu, ustąpiła miejsca grubej jedwabnej koronce o drobnym geometrycznym deseniu, który jest złączony dużemi oczkami.

A jak pani pięknie wygląda w czarnej georgette'owej sukni, suto zahaftowanej



cekinami lub nabijanej brylantami, szykownie z lewej strony udrapowanej i mocno dekoltowanej!

To znów ubiera się w stylową haftowaną różową krynolinę, pokryją całą tiulowemi falbankami w różnych różowych tonach!

Do tego koniecznie pani musi mieć z lamy pelerynę lub płaszcz z szerokiemi rękawami, aby się nie pogniotła suknia.

Od kilku lat przepych pięknych lam nie ma granic. Tka się na srebrnem lub złotem tle wspaniałe wzory, godne Véronesa, dzięki którym wysportowana i dbająca o linję pani staje się wieczorem majestatyczną dogaressą z epoki Odrodzenia, chociaż czasy obecne są w historji mody epoką prostych form i wspaniałych materji.

W obecnym sezonie brylanty zastępują tak modne w zeszłym roku perły — oczywiście jedno zarówno, jak i drugie rzadko bywa prawdziwe i byłoby rzeczą wprost niemożliwą, aby mogły być ze szlachetnych kamieni. Bo dzisiaj pani



ma biżuterję w takiej ilości, że może ją zmieniać, jak suknie, czy kapelusz. A raczej nawet do każdej sukni i kapelusza nosi się coś specjalnego. Jest biżuterja na rano, na popołudnie, na wieczór, na spacer, na dancing, na bal. Wszystkie te ozdoby na srebrnych lub złotych łańcuszkach, oprawne w brylanty, kolorowe kamienie, kolje, długie brosze, klamry przy paskach, szerokie jak mankiety, bransoletki, które nosi się w nadmiernej ilości, są albo z brylantów, albo w kolorze sukni. I w świetle elektrycznych lamp ubranie pani błyszczy, połyskuje, lśni się i promieniuje. Ale w dniu, w którym pani dostanie brylant, taki najprawdziwszy, to musi być tak wielki, jak brukowiec, bo przecież prawdziwe klejnoty muszą być wielkie, aby można je odróżnić od fałszywych!

Irène





Na pograniczu polsko-bolszewickim dokonano aktu wymiany skazańców politycznych polskich, oddając w zamian komunistów. Został wymieniony między innymi słynny Ilinicz i działaczka komunistyczna Skokowska. Wszyscy prawie polscy więźniowie byli skazani przez bolszewików na śmierć. Fot. Marjan Fuks

Sześćdziesięciolecie Czeskiej krytyki literackiej

Istnienie czeskiej krytyki literackiej określają znawcy kultury w Pradze latami życia Fr. Ks. Saldy. W roku ubiegłym d. 22 grudnia skończył on lat sześćdziesiąt, więc jest to też jubileusz sześćdziesięciolecia tej ważnej funkcji artystycznej. Fr. Krawey Salda jest bowiem właściwym twórcą tej umiejętności. Przed nim pisarze tacy, jak Dudrik i Hostinsky, byli raczej filologami, publicystami. Salda umiał w ujęciu swojem połączyć estetykę i głębię spojrzenia na omawiany utwór literacki. Oparł się mocno o dorobek kultury francuskiej i piórem swojem szczepił kult dla sztuki pisarskiej Balzaca, Flauberta, Paskala, Mallarmé. Wydał on interesujące a wysoko cenione książki: „Dusza i utwór", „Portrety i medaljony".

Uprawia on również beletrystykę. Powodzeniem cieszy się „Życie Ironiczne", „Marjonetki i pracownicy Boscy". Teatry czeskie grały jego sztuki: „Dziecię", „Pochód przeciw śmierci" i „Tłumy".

W Saldzie zastanawia niezwykła żywotność wyobraźni. Jest on urodzonym polemistą. Lubi kwestjonować wszystkie utarte mniemania społeczne, artystyczne, religijne, polityczne. Posiada szeroką skalę zainteresowań umysłowych. Obcowanie z nim przynosi wiele przyjemności. Fr. Ks. Saldę poznałem w Porto-Rose. Kilkakrotne rozmowy z nim pozostawiły mi nader dodatnie wrażenie. Jest to umysł bardzo sprężysty, choć przekorny i lubiący paradoksy. O literaturze naszej posiadał wiadomości dosyć ograniczone. Za to wśród nowalji nadsekwańskich czuł się zupełnie zadomowionym.

Złoty medal ku czci prof. Oswalda Balzera

Ku czci prof. dr. Oswalda Balzera, znakomitego badacza prawodawstwa polskiego, wybity będzie złoty medal. Jak wiadomo, prof. Balzer jest autorem licznych publikacji, jak ‚Genealogja Piastów", „Corpus iuris Polonici", „Królestwo polskie 1925 — 1370". Jego wysiłkiem stanęło wydawnictwo „Studja nad historją prawa polskiego". Prof. Balzer brał też czynny udział w obronie praw naszych na forum międzynarodowem. Wszyscy pamiętamy jego wystąpienia przeciw prof. Mommersenowi i Bjornnowi. Jego świetna obrona wpłynęła na decyzję w sprawie „Morskiego Oka".

Medal ku czci prof. Oswalda Balzera wykonał art. rzeźbiarz Piotr Wojtowicz. Będzie on powielony w Państwowej mennicy w Warszawie w średnicy 6 cm. Nabyć go można w drodze prenumeraty. Egzemplarz srebrny cena zł. 40., bronzowy po zł. 10. Pieniądze należy składać na rachunek Pocztowej Kasy Oszczędności we Lwowie.

Z dziedziny kosmetyki

RĘCE

Niemałą dolegliwością naszą jest szorstkość i czerwoność rąk, które występują z nastaniem chłodów. Aby utrzymać ręce przez całą zimę delikatnemi i białemi, trzeba stale stosować *Pâte de Prelats.* Na noc, umywszy ręce, po wtarciu cokolwiek kremu *Pâte de Prelats,* który ma własności zmiękczania i wydelikatniania rąk, obficie przypudrować ręce wybielającym pyłkiem *Juvenia Candida.* W ten sposób pielęgnowane ręce będą stale miały aksamitną delikatność i gładkość, oraz nie będą sine i czerwone podczas mrozu. Ponieważ *Pâte de Prelats* wciera się do sucha, dobrze jest w ciągu dnia, po umyciu rąk, wetrzeć 1 — 2 razy dziennie, naturalnie nie stosując pyłku *Juvenia Candida,* który w dzień byłby widoczny.

M-me Ercedes.

TAM KUPUJCIE!

NAJWAŻNIEJSZE WYPADKI UBIEGŁEGO TYGODNIA

SPRAWY PAŃSTWOWE

Pierwsze państwowe listy wyborcze zostały już zgłoszone przez Bezpartyjny blok współpracy z rządem (Nr. 1), P. P.S. (Nr. 2), „Wyzwolenie" (Nr. 3), „Bund" (Nr. 4), „Poalej-Sion" — lewicę (Nr. 5). *Ruch przedwyborczy* wzmaga się powoli. Wśród prawicy i wśród ludowców toczą się ożywione pertraktacje, ale ugrupowania nie zarysowały się jeszcze konkretnie.

Sprawa poprawy doli urzędników państwowych odwleka się. Szerokie rzesze oczekują z utęsknieniem podwyżki.

Statystyka drożyźniana ministerstwa przemysłu i handlu dowiodła, że najdroższemi miastami w Polsce są Warszawa i Drohobycz. Rozpiętość cen ogromna, a zyski zgarniają przedewszystkiem hurtownicy.

Tytoń bułgarski zaoferował Polsce tamtejszy związek kooperatyw, zobowiązując się wzamian zakupić pewną ilość polskich wyrobów przemysłowych. Jeżeli papierosy się poprawią, interes będzie korzystny.

Polska ekspedycja wyjechała do Peru, celem zbadania warunków dla kolonizacji polskiej we wschodniej części tego kraju. Nareszcie państwo bierze w ręce sprawę wychodźtwa.

SPRAWY POLSKIE

Przeciw traktatowi z Polską oświadczył się pruski minister rolnictwa, obawiając się dopuszczenia w granice Niemiec polskiej nierogacizny i mięsa.

P. Waldemaras oświadczył, że pragnie widzieć silną Polskę, ale ...bez Wilna i po rewindykacji odszkodowania pieniężnego za zajęcie Wilna. Pozatem gotów pertraktować co do technicznego współżycia obu narodów.

Inspekcję wojsk sowieckich na polskiem pograniczu przeprowadził Budiennyj z członkami rewolucyjnej rady wojennej. Czy zwykła wojskowa formalność, czy demonstracja?

POLITYKA ZAGRANICZNA

Koalicję senacką w Gdańsku stworzyło centrum, niemieccy liberali i socjalni demokraci. Liczba członków senatu ma być zmniejszona.

W sprawie paktu wiecznego pokoju wymieniły propozycje Stany Zjednoczone i Francja.

Potępienie wojny jedynie zaczepnej, proponowane przez Brianda w myśl deklaracji Ligi Narodów, uważają Stany Zjednoczone za niewystarczające. Nie chcą ograniczeń.

Projekt przebudowy Rzeszy niemieckiej propaguje związek naprawy Rzeszy, chcąc jej zapewnić decydujący wpływ na wszystkie zagadnienia całego państwa.

Tajemniczą przesyłkę karabinów maszynowych zatrzymano na granicy austrjackiej. Nie wiadomo dokładnie, dla kogo je przemycano. Próby wmieszania Polski w tę aferę zawiodły.

Zamach stanu na rzecz ks. Karola, przygotowany przez emigrantów rumuńskich w Konstantynopolu, wykryły władze tureckie. Trudno się wyrzec myśli panowania.

RÓŻNE

Tamiza wystąpiła z brzegów i zalała ogromne połacie Londynu. Było wiele ofiar nocnej powodzi.

Dwie katastrofy wydarzyły się w Berlinie. Wybuch gazu zniszczył olbrzymi gmach, a tajemnicza eksplozja uszkodziła willę jednego z przemysłowców.

Z Kalotechniki

Pani M. Wąsiki usuniemy w zakładzie na zawsze najnowszym sposobem. Włosy najlepiej przyciemnić płynem „Pigmin", absol. nieszkodliwy.

St. Bu. Skórę głowy zwilżać co 2—3 dni ang. płynem „Bisare". Włosy przestaną wypadać. Łupież zniknie. Twarz i ręce smarować kremem „Salome". Udelikatnia, cera przestaje się łuszczyć.

Zofji S. Nie tylko na karnawał, płyn „Sourcil" doskonale i niezmywalnie przyciemnia brwi i jest bezporównania lepszym niż ołówek.

Pani M. K. Wągry, gęsią skórkę usunie pani „Perełkami Alkalicznemi". Do warg najodpowiedniejszym jest fr. płyn „Rosaline", firmy Lozain.

Nie zawiera miner. części szkodliwych, jak pomadki do ust, nie zmywa się ani nie zjada.

St. W. Wypadające włosy prosimy nadesłać do analizy: Kalotechnika, Marszałkowska 116. *Dr. Z. K.*

Z dziedziny kosmetyki lekarskiej

Poza wyłysieniem, spowodowanem grzybkiem, a także łysieniem, któremu towarzyszy łupież suchy lub tłusty. Spotykamy się dość często z mniej lub więcej stałem wypadaniem włosów bez jednoczesnego złuszczenia się naskórka głowy lub też jakiegoś nadmiernego wydzielania się sekretu gruczołów łojowych lub potowych. Leczenie polega przedewszystkiem na stosowaniu miejsca miejsca głowy mydłem siarkowem 2% (Malinowskiego) następnie zaś na stosowaniu płynów i pomad. Monin podaje następujący przepis: „Balsamu Fiorawanti 30,0, Nalewki Pyrèthre i mydlanej po 15,0; nalewki waniljowej 4,0; wymoczu piżmowego 3 krople". Staffe podaje przepis z „Saint Louis". „Spirytusu kamforowego 100,0, Terpentyny 10,0, Amoniaku 4,0, Rumu, oleju rycinowego i chininy (korzenia) po 20,0,". Metoda Lassara polega na codziennem (zpoczątku) w ciągu 8 dni 1) myciu głowy mydłem dziegciowem (Malinowskiego, 2) później na prysznicu wodą ciepłą i zimną (naprzemian), 3) na stosowaniu: „Sublimatu 0,5; wody 150,0; gliceryny i wody kolońskiej po 50,0, 4) Po wyschnięciu skóry głowy przetrzeć „spirytusem absolutnym z naftolem (100:0,5) 5) wreszcie nastąpić powinno przetarcie skóry głowy „kwasu salicylowego 3,0; nalewki benzoesowej 3,0; oleju z nóg wołowych 100,0". Z gotowych preparatów wymienić mogę: „Tetral" i „Florentine". Gaston radzi mycie głowy co 10 dni w rozczynie który otrzymujemy: „do litra gotującej się wody dodaje się 30,0 panamy po gotowaniu dodać 10,0 mydła szarego i 5,0 sody, przecedzić. Do filtratu dodać łyżkę stołową dziegciu mydlanego". Powyższe stosuje się gorące. O ile po umyciu włosy są zbyt suche, można wetrzeć w nie nieco brylantyny lub kremu lanolinowego (Malinowskietgo). Oczywiście poza środakami farmaceutycznemi duże znaczenie ma światłolecznictwo.

Dr. med. Feliks Rostkowski

Jubileusz zasłużonej firmy

Przed 25 laty, gdy o higjenie dziecka głucho jeszcze było w Polsce, gdy zabobonne matki przysypywały ciałaka swych dzieci próchnem ze zgniłych drzew i rozmaitemi proszkami, w owym czasie po raz pierwszy w Polsce wypuszczono na sprzedaż subtelne, na najnowszych zdobyczach pedjatrji oparte środki do pielęgnowania ciałek niemowląt:
Puder, Mydło i Krem Bébé Szofmana
Artykuły te zdobyły sobie niezwłocznie najlepszą opinję śród najwybitniejszych powag świata lekarskiego, jakoteż śród matek, troszczących się z zdrowie i czystość swych dzieci.

P. Szofman, pierwszy w Polsce wytwórca pudru, mydła i kremu dla dzieci, nie spoczął jednak na laurach. Przeciwnie, nieustannie dbał o ulepszenie swych wyrobów, stosując nowoczesne maszyny, najgęstsze sita jedwabne i pierwszorzędnej jakości surowce do produkcji swych wyśmienitych i, dzięki temu, tak popularnych środków do pielęgnowania ciałek dziecięcych. Obecnie rzec można bez przesady, że artykuły te, *Puder, Mydło i Krem Bébé Szofmana,* są bezkonkurencyjne pod względem swej dobroci, stoi bowiem za nimi doświadczenie lat 25. Na *Pudrze, Mydle i Kremie Bébé Szofmana* wychowało się już kilkanaście set tysięcy dzieci, a wdzięczność matek dla firmy Szofman jest najlepszym dowodem niezrównanej wprost skuteczności *Pudru, Mydła i Kremu Bébé Szofmana,* które dziś obchodzą swój jubileusz 25-letni.

OD ADMINISTRACJI

Wobec konieczności unormowania nakładu naszego wydawnictwa na rok bieżący, uprzejmie prosimy Szanownych PP. Prenumeratorów o jaknajśpieszniejsze przekazanie należności za miesiąc styczeń lub kwartał I-szy 1928 roku

Redaktor odpowiedzialny St. KRZYWOSZEWSKI
Druk GALEWSKI i DAU, Warszawa